



GŁOS BRATA ALBERTA



nr 4 (79)

ISSN 2084-4360

zima 2014



W numerze m.in.:

kl. Maciej Koczaj TChr

**Mądrość Maksa
i mądrość Adama** (s. 26)

bp Grzegorz Ryś

**Nie pamiętam, żebym
prześladował jakiegoś artystę** (s. 47)



Cmentarz Łyczakowski



Lwów powszedni



We Lwowie	
Brat Albert we Lwowie	2
Przytuliska Br. Alberta we Lwowie	5
Pielgrzymka do Lwowa	8
Lwów oczami nowicjuszek	9
WYDARZENIA	13
Radom - parafia św. Br. Alberta	16
MISJE	
Głos z Pakistanu	17
List z Syberii	22
Mądrość Maksa i mądrość Adama	26
OKIEM I SERCEM	
Szara godzina	39
Być człowiekiem. Kontemplacja obrazu „Ecce Homo”	41
Wywiad z bp. G. Rysiem	47
PKPiekło	54
NASZA BŁOGOSŁAWIONA	
Dla Króla Chwały	56
Ostrożności (5)	59
Włódkowi. In Memoriam	63

Głos Brata Alberta

Kwartalnik

adresowany do czcicieli św. Brata Alberta i wszystkich, którzy czerpią z jego ducha

Wydawca: Zgromadzenie Sióstr Albertynek; współpraca: Zgromadzenie Braci Albertynów, Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta. **Redakcja:** albertynka s. Agnieszka Koteja. **Współpraca:** albertyni: br. Paweł Flis, br. Kamil Szymański, TPBA: Małgorzata Sieńczyk. **Adres:** Woronicza 10, 31-409 Kraków. **E-mail:** glosbrata@wp.pl



We Lwowie

ADAM CHMIELOWSKI – BRAT ALBERT WE LWOWIE

1879 – Adam Chmielowski przyjeżdża do Lwowa (po paromiesięcznym pobycie we Włoszech); maluje często u Leona Wyczółkowskiego przy ul. Piekarskiej, który ma lepszą pracownię, nieraz też u niego nocuje; maluje „Cmentarz włoski” i pierwsze obrazy religijne – „Wizja św. Małgorzaty”

Leon Wyczółkowski pisał: „Był ogromnie wymagający i nadmiernie do swych obrazów krytyczny. Malował długo, zmieniał, przerabiał i często, tuż przed ukończeniem pracy, niezadowolony, niszczył obraz. Było to bowiem już wówczas, gdy się w nim poczęło coś tajemniczego dziać, coś przeobrażać i przełamywać”¹.

1879/1880 – prawdopodobnie w ostatnich tygodniach 1879 roku, w grekokatolickiej cerkwi Świętego Ducha, rozpoczyna malowanie obrazu „Ecce Homo”

1880 – Adam przygotowuje się do wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego, odbywa rozmowy z jezuitami w Tarnopolu i Starej Wsi; wiele czasu

spędza z lwowskim domu jezuitów, malując obraz św. Józefa Oblubieńca NMP, w lipcu wyjeżdża na parę tygodni do jezuitów w Krakowie; do wstąpienia do jezuitów namawiał także Wyczółkowskiego, który później tak wspominał nastrój Adama:

„...toczył ze sobą straszną walkę (...). Już po powzięciu decyzji wstąpienia do klasztoru, niejako w przeddzień zamknięcia za furta, przyszedł do mnie do pracowni, porwał paletę i począł malować. W kilka godzin namalował uroczą boginkę leśną. Odprowadzałem go do domu. Gdy mijaliśmy gmach teatru, dowiedzieliśmy się z afiszów, że niebawem rozpocznie się przedstawienie operetki. I nagle opanowała [go] gorąca chęć, by pójść na to przedstawienie. Przez całą chwilę stał i walczył zaciekle z pokusą. Zwyciężył ją, bo nagle porwał się i uciekł do domu. Nazajutrz przyszedł znów do mej pracowni. Popatrzył na swoje wczorajsze dzieło. Kilкома pociągnięciami pędzla zamalował boginkę, a na jej miejsce wymalował widok Rzymu (...). Obraz był ponury, cały czarny i czerwony. Moje kwiaty jeszcze przebijały gdzieś w rogu”².

23 września 1880 – wyjazd ze Lwowa do Starej Wsi – wstąpienie do zakonu jezuitów

¹ Por.: List z Gościeradza. *Leon Wyczółkowski o Bracie Albercie*, „Nasza Myśl” maj-czerwiec 1936, 3, s. 62.

² Leon Wyczółkowski, *Listy i wspomnienia*, Wrocław 1960, s. 208.



[w Starej Wsi Adam zostaje przyjęty do nowicjatu – 10 października 1880 i 19 listopada rozpoczyna miesięczne rekolekcje; w pierwszym tygodniu, podczas medytacji o śmierci, zapada w chorobę uniemożliwiającą kontynuowanie formacji; po paru miesiącach bezskutecznego oczekiwania na poprawę zdrowia wyjeżdża na leczenie]

5 kwietnia 1880 – przyjazd do domu jezuitów we Lwowie w celu zbadania przez psychiatrę dra Sawickiego, który chciał go przyjąć do Szpitala Powszechnego i zaaplikować „kurację wodną”; Adam odmawia zgody na kurację; ma udać się przez Tarnopol do Kudryniec (do swego brata Stanisława); w Tarnopolu jednak nie pojawia się u jezuitów; bezskuteczne poszukiwania trwają kilka dni, po których okazało się, że w Tarnopolu Adam udał się do hotelu, a następnie wrócił do Lwowa; tu oddaje się w ręce dra Sawickiego i godzi na kurację

17 kwietnia 1881 – po kilku dniach spędzonych w Szpitalu Powszechnym zostaje przeniesiony do Krajowego Zakładu dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie pod Lwowem

„Chory w rozmowie systematyzuje logicznie swoją depresję psychiczną i napady trwogi, nie ma poczucia choroby psychicznej, lecz najwięcej żali się na chorobę żołądka” (z wywiadu lekarskiego)



Adam Chmielowski ok. 1882, wg fotografii W. Jaworskiego, Atelier „Adela” we Lwowie

22 stycznia 1882 – brat Stanisław zabiera Adama ze szpitala pod Lwowem do Kudryniec

Z wypisu: „U chorego widzimy typowy obraz zadumy: chory jest apatyczny, przygnębiony, oddaje się chętnie rozmyślaniom, uważa się za niegodnego należenia do zakonu, a swój obecny stan za beznadziejny, stale go trapią liczne wyrzuty sumienia. Mówi, że choroba jest następstwem jego dawnych przewinień. W ciągu dalszego pobytu w Zakładzie stan ten pogorszył się jeszcze bardziej, chory uważał się za straconego, odmawiał przyjmowania pokarmów, gdyż mówił, że jest niegodnym by jeść. (...) orzekamy, że Adam Chmielowski w czasie swego



pobytu w Zakładzie przebył stadium zadumy (melancholii)”³.

Dr Ryn wyjaśnia: „Rozpoznana we Lwowie przez dra Sawickiego zaduma, czyli melancholia, odpowiada chorobie, którą obecnie najczęściej określa się depresją lub chorobą afektywną”⁴.

Sam Brat Albert, zapytany po latach w Krakowie przez ks. Czesława Lewandowskiego o stan duszy w okresie choroby, odpowiedział: „Byłem przytomny, nie postradałem zmysłów, ale przechodziłem okropne męki i katusze i skrupuły najstraszliwsze”⁵.

[w Kudryńcach Adam odzyskuje równowagę ducha, odkrywa charyzmat III Zakonu św. Franciszka i szerzy go na Podolu; w 1884 przybywa do Krakowa, w 1887 wkłada tercjarski habit i przybiera nowe imię – staje się Bratem Albertem; w 1888 składa śluby, inicjuje wspólnotę braci i obejmuje opiekę nad ogrzewalnią dla mężczyzn; w 1891 pierwsze siostry Tercyarki Posługujące Ubogim zamieszkują w ogrzewalni dla kobiet]

Udokumentowane pobyty Brata Alberta we Lwowie

- 25 września 1892 – zawarcie umowy z gminą m. Lwowa

- 1 listopada 1892 – objęcie przytuliska dla mężczyzn
- 31 stycznia 1895 – na śniadaniu u jezuitów
- 7-9 lipca 1896 – na Wiecu katolickim we Lwowie Brat Albert wygłasza referat pt. „Trzeci Zakon św. Franciszka”
- 3 lutego 1897 – poświęcenie przytuliska dla kobiet przy drodze Pilichowskiej (obok parku Wiśniowskiego)
- 10 sierpnia 1899 – na śniadaniu u jezuitów, spotkanie z o. Pydynowskim
- 20 maja 1900 – list ze Lwowa
- 20 października 1902 – list ze Lwowa
- 16 września 1904 – odwiedziny u jezuitów
- 18 października 1906 – planuje 20-go być we Lwowie
- 15 grudnia 1906 – planuje 27 grudnia pobyt we Lwowie, żeby wnieść podanie do Sejmu
- 14 lutego 1907 – pisze ze Lwowa podanie o subwencję
- 23 lutego 1907 – jest przy śmierci s. Róży Daniłko
- 11 maja 1907 – planowany pobyt
- 1 lutego 1908 – jest we Lwowie, wybiera się do Przemyśla (gdzie w październiku otwarto przytulisko)
- 18 stycznia 1909 – na śniadaniu u jezuitów

³ Por.: Odpis historii choroby Adama Chmielewskiego.

⁴ Tamże, s. 537.

⁵ Cz. Lewandowski, *Żywot Brata Alberta*, mps ASA B/IV.1, s. 82.



- 12 lutego 1912 – na obiedzie u jezuitów
- 2 sierpnia 1912 – na śniadaniu u jezuitów
- 31 lipca 1916 – ostatni pobyt we Lwowie

PRZYTULISKA BRATA ALBERTA WE LWOWIE

(w: Czesław Lewandowski CM,
Brat Albert, Kraków 1927)

Więści o dobroczynnej działalności Brata Alberta dla ubogich w przytuliskach krakowskich rozchodziły się daleko po kraju, doszły i do Lwowa. Ówczesny prezydent miasta E. Mochnacki 1891 r. przyjechał do Krakowa naumyślnie, by zwiedzić zakłady Brata Alberta, i wtedy omawiał z nim sprawę przytulisk dla ubogich we Lwowie, których

budowę miano rozpocząć tego roku, a w następnym dokończyć według planów Brata Alberta. Wystawiono dom przy ul. Kleparowskiej, dla mężczyzn, ale budowa drugiego domu dla kobiet stanęła dla braku funduszy, których użyto na cele wystawy lwowskiej. Zdawało się, że otwarcie przytulisk Brata Alberta nie prędko nastąpi. Stało się inaczej, a to z powodu nieszczęścia, jakie wywołał pożar we Lwowie. Stojące poza miastem stogi i serty wojskowe ogarnął nagle ogień, spalił je, wraz z wielu nocującymi tamże bezdomnymi ubogimi, co taką grozą przejęło mieszkańców i litością nad biednymi ludźmi, iż magistrat postanowił wybudowany dom przedzielić na dwie połowy, oddać ubogim i uprosić Brata Alberta, by opiekę nad nimi przejęły jego Zgromadzenia.



Pracownia krawiecka w zakładzie przy ul. Złotej 6 we Lwowie



Pod naciskiem tych prośb, a więcej jeszcze z litości nad niedolą biednych ludzi, wyprawił Brat Albert w listopadzie 1892 r. Braci i Siostry do Lwowa. Tutaj atoli rozpatrzywszy się bliżej Brat Albert nie chciał się zgodzić, by w jednym domu były dwa przytuliska przez Braci i Siostry obsługiwane, mimo projektowanego podziału domu na dwie części, lecz zarządził, aby ów dom na Kleparowie całkowicie był obrócony na przytulisko dla mężczyzn, pod zarządem Braci, dla ubogich zaś kobiet miał być na razie inny dom na przytulisko wynajęty i Siostrą w opiekę oddany, zanim się nowe przytulisko pobiuduje.

W listopadzie jeszcze 1892 r. rozpoczął Brat Andrzej, jako przełożony, z drugim Bratem, dzieło miłosierdzia nad ubogimi mężczyznami i chłopca-

mi, w nowym przytulisku pod kierunkiem i za wskazówkami Brata Alberta, który chciał, by posługa ubogich odbywała się według tych samych sposobów wypróbowanych. Urządzać poczęto w przytulisku warsztaty pracy dla ubogich, których Brat Andrzej zjednał sobie zupełnie, dzięki swej dobroci i niepospolitej wymowie. Sławne były przemowy Brata Andrzeja, którego ubodzy z zapartym oddechem słuchali, a potem ze skrucą nawracali się.

Liczba chłopców bezdomnych w przytulisku ustawicznie wzrastała, którymi Brat Andrzej gorliwie się opiekował, by w nauce, cnocie i różnych gałęziach rzemiosł od wczesnej młodości się zaprawiali.

Brat Albert często odwiedzał to przytulisko i cieszył się niezmiernie, że tylu bezdomnych ludzi znajdowało



Sypialnia kobiet w zakładzie przy ul. Złotej 6 we Lwowie



tutaj schronienie, pomoc materialną i drogę do cnoty i do zbawienia.

Siostry Albertynki, z braku przytuliska dla kobiet, osiadły na razie w domu kalek na Podzamczu i zaopiekowały się biednymi chorymi i zniedołężniałymi staruszkami. Gdy wreszcie wynajęto dom na przytulisko, w niewielkiej odległości od przytuliska dla mężczyzn, wyznaczył Brat Albert Siostrę Lubańską, by ze swą towarzyszką, Siostrą Kunegundą, zaopiekowały się tem nowym przytuliskiem, które przepełniało 150 ubogich kobiet i dzieci. Stosunki były tutaj bardzo ciężkie i prawie nieznośne. Parterowy ów dom częściowo tylko obrócony był na przytulisko. W dwunastu wilgotnych pokojach, o przyziemnych oknach, mieszkaly kobiety i dzieci, resztę zaś domu zajmowali lokatorzy, była tam także restauracja, karczma, kuźnia i łaźnie. W takim nieszczęśliwym środowisku znalazły się Siostry, które zajmowały jeden pokój, służący im za refektarz, sypialnię, pralnię i spiżarnię. Brat Albert ogrodził ów pokój płotem, by jakaś klauzura oddzielała Siostry od innych ludzi. W tej nędzy, niedostatku, była Siostra Lubańska w swoim żywiole i nad wyraz uszczęśliwiona tem skrajnym ubóstwem; boć i okna całkowicie śnieg przykrywał, a nawet korytarze przewiewał. Ciąsnota tak wielka, że Siostry, klęcząc na korytarzach, odmawiały wspólny pacierz z kobietami, które w otwartych

pokoikach z nimi się łączyły. Ludzie złośliwi i źle wychowani udręczali Siostry przykrościami, co wszystko Czcigodna Przełożona znosiła z taką cichością i dobrocią nieznużoną, iż poczęto wreszcie odnosić się do niej z wielkim szacunkiem i grzecznością i nigdy już potem Siostrą nie ubliżano.

Brat Albert, jako anioł pokoju przychodził do Sióstr i widząc je takie przemęczone, ale ciche i pogodne, pocieszał je serdecznie i mawiał: „Prze-trwajcie Siostry te ciężkie chwile, przez to innym Siostrą lepszą drogę utorujecie”. Gdy chodziło o ratunek ubogich, Brat Albert, ani siebie ani swych duchownych dzieci nie oszczędzał. Przykłady tak bohaterskiego poświęcenia się dla ubogich, jakie widziano w Czcigodnym Założycielu i jego wiernej uczennicy Siostrze Lubańskiej, zachęcały i porywały innych do podobnych poświęceń.

Z powodu artretyzmów i innych ciężkich chorób, Siostra Lubańska stała się prawie kaleką i Brat Albert posłał ją do zacisznego domku, do Brusna 1894 r., a Siostra Kunegunda, jako przełożona, wraz z kilkoma Siostrami, dalej w tych ciężkich warunkach służyły ubogim, aż wreszcie wystawiono, według planów Brata Alberta, nowe przytulisko dla ubogich kobiet i dzieci przy ul. Złotej i poświęcono je 8 grudnia 1896 r. ku niezmierniej radości Czcigodnego Sługi Bożego i Ojca ubogich. Liczba bezdomnych kobiet z przytuliska korzystających



wynosiła dziennie 120 – 170 osób i kilkadziesiąt dziewcząt opuszczonych.

Gdy w roku 1898, po zwinięciu domu kalek na Podzamczu, przeprowadzono ubogich do nowego domu im. Bilińskich we Lwowie, skierowywał magistrat część nieuleczalnych kobiet do przytuliska Sióstr Albertynek, tak, że ich liczba doszła do 50 osób. Schorzałe te i zniedołężniałe kobiety nie tylko nie były ciężarem dla Sióstr, ale wyszczególniono je opieką. Kiedy raz przełożona domu, Siostra Władysława, nie mogła dostać tyle mleka, by niem codziennie obdzielać biedne te kaleki, poprosiła swe Siostry, aby odstąpiły dla chorych mleko dla nich przeznaczone, na co one chętnie się zgodziły. Odtąd Siostry zadawałniały się czystą herbata, za to biedne staruszki mlekiem się rozkoszowały. Gdy się Brat Albert o tem dowiedział, że łzami w oczach dziękował Siostram, że sobie co lepszego ujęły i dały ubogim, i dodał: „to jest po naszymu!”.

PIELGRZYMKA DO LWOWA

W dniach 27-28 września, w ramach 9-letniej nowenny przed obchodami setnej rocznicy śmierci Brata Alberta, jego duchowi spadkobiercy – siostry, bracia i członkowie Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta – pielgrzymowali do Lwowa z Polski, jak też z albertyńskich placówek na Ukrainie (siostry – z Plebanówki i Czeczelnika

z obwodu winnickiego, a bracia z Zakoparza),

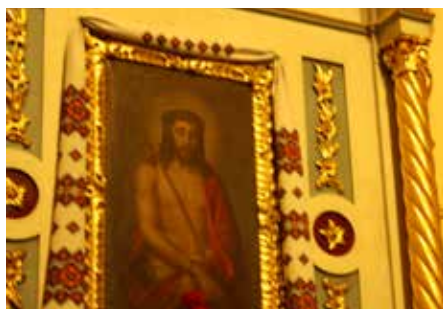
Pielgrzymka wyruszyła w sobotę przed świtem, by po południu móc zobaczyć Lwów. Wieczorem w seminarium rzymskokatolickim została odprawiona Msza święta w intencji Ukrainy, której przewodniczył rektor.

Siostry nocowały w Brzechowicach, w Domu Pielgrzymy przy ul. Szerokiej przy seminarium bazylianów, a bracia w seminarium rzymskokatolickim w Brzechowicach przy ul. Lwowskiej.

W niedzielę pojechaliśmy na uroczystą Mszę św. do katedry łacińskiej,



Archikatedralny sobór św. Jura we Lwowie



Obraz Ecce Homo często można spotkać w kościołach Lwowa



czyli bazyliki archikatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Nabożeństwo poprzedził montaż słowno-muzyczny w wykonaniu sióstr nowicjuszek, a Siostra Starsza Krzysztofa nakreśliła związek Brata Alberta ze Lwowem i krótką historię obrazu „Ecce Homo”. Za wspólną modlitwę dziękował zgromadzonym Brat Starszy Franciszek.

Mszy św. o godz. 11.30 przewodniczył abp Mieczysław Mokrzycki. W procesji z darami niesiono kopię obrazu „Ecce Homo”, którą arcybiskup postanowił umieścić w kate-

drze, w bocznej kaplicy p.w. M.B. Częstochowskiej.

Po południu pielgrzymi wyruszyli w drogę powrotną do Polski, zatrzymując się nieco dłużej (niżby chcieli) na granicy, z powodu długiej odprawy.

LWÓW OCZAMI NOWICJUSZEK

Lwowska pielgrzymka była dla nas wielkim bogactwem. Sama droga do Lwowa pozwoliła nam zobaczyć Ukrainę od innej strony niż ta znana z książek czy telewizji. Na przykład gdzieś pośród (wydawało się) zanie-



Cmentarz Orłąt



Rynek - z Czarną Kamienicą



Cmentarz Łyczakowski.
Przy grobie Marii Konopnickiej





dbanych i od dawna leżących odłogiem pól pojawiało się stadko krów pasących się razem z końmi, a na mie-dzy nieopodal siedziała staruszka, której jedynym zajęciem było doglądanie swojego inwentarza. Niby nic wielkiego, ale to już wiele mówi o przywiązaniu do ziemi i stanie posiadania tamtejszej ludności. Zwróciliśmy też uwagę na niewielkie wioski mijane po drodze, położone gdzieś wśród rozległych pól, nad którymi górowały urokliwe maleńkie cerkwie. Wszystkie drogi krzyżowały się wokół świątyni – jakby punktu, który jednoczył całą miejscowość.

Sam Lwów okazał się miastem bardzo różnorodnym pod wieloma względami. Widoczne było jakby zderzenie dwóch światów – bogactwa i jeśli nawet nie biedy, to dużo niższego statusu materialnego mieszkańców. Można to było zauważyć choćby patrząc na zaparkowane samochody. Jedne nie odbiegały od tych najczęściej pojawiających się na naszych polskich ulicach, włącznie z bardziej luksusowymi, natomiast inne były tak stare, że nasze pokolenie zna je jedynie z filmów. Miasto bardzo piękne, przypominające Kraków, ale wydaje się o wiele uboższe. Ogromna ilość zabytków, ale zaniedbanych, a przez to pozbawionych swojego blasku. Nawet jakoś reklam przy drogach świadczy o niższych możliwościach finansowych tamtejszych firm.

W naszej pamięci pozostało też więzienie, na które zwracał uwagę przewodnik, zewnętrznie bardzo odbiegające od naszych „standardów”: zaniedbany, surowy, poklasztorny budynek ze starymi, nadającymi się tylko do wymiany oknami.

Miasto o niesamowitym bogactwie pod względem kultury, ale wydaje się, że niewykorzystanym.

Lwów jest miastem, które pokazuje bogactwo chrześcijaństwa – nie tyle podziały, ale właśnie jedność w różnorodności. W Polsce wchodząc do kościoła najprawdopodobniej będziesz w świątyni rzymskokatolickiej, a we Lwowie czasem trzeba się dobrze zastanowić, jaki to obrządek. Naszą uwagę zwróciła piękna liturgia chrzcielna, w jakiej przypadkowo mogłyśmy uczestniczyć w kościele greckokatolickim oraz ormiańska świątynia, która samym swoim wyglądem jakoś przedziwnie odsyłała wprost do początków chrześcijaństwa. Na jej ścianach znajdowały się nasycone symboliką freski – jedna scena łączyła w sobie ogromne bogactwo znaczeń i treści, raczej rzadko spotykane w naszych świątyniach. W ogóle samo wejście do kościołów wschodnich wyznań i obrządków już otwierało trochę inną perspektywę, różną od naszego zachodniego myślenia. To było zderzenie z inną duchowością, bardziej wydaje się otwartą na symbolikę i to, co ukryte i niekoniecznie wyrażalne. Przepiękne ikony, które



nawet jeśli były nowe, to wskazywały na wielowiekową historię Kościoła.

Ucieszyliśmy się sporą liczbą powołań na Ukrainie, zarówno kleryków obrządku łacińskiego, jak i greckokatolickich bazylianów, u których gościliśmy. Kraj w politycznie trudnej sytuacji wydaje się szczególnie potrzebować powołań i Pan Bóg na tę potrzebę odpowiada.

Wieczorny koncert na rynku we Lwowie z lampionami na nocnym niebie uświadomił nam też, że pomimo atmosfery niepewności z powodu grożącej wojny zwyczajne życie toczy się nadal, a ludzie próbują żyć normalnie. Zwróciliśmy też uwagę na żywą polskość obecną we Lwowie. Od cmentarza Orłąt, aż po radość ludzi wychodzących z niedzielnej Eucharystii w katedrze łacińskiej, którzy nie kryli wzruszenia widząc polskie siostry zakonne w swoim mieście. Zapadły nam w serce także smutne słowa pewnej starszej pani, która powiedziała: „nie pamiętacie o nas, że tu jesteśmy” – o Polakach mieszkających we Lwowie.

Sama niedzielna uroczystość utrwaliła się w naszej pamięci przez bardzo podniosłą i pięknie przygotowaną liturgię – służba liturgiczna katedry lwowskiej na najwyższym poziomie. Wydaje nam się także, że przez ten wspólnie spędzony czas zawiązały się bliższe więzi z braćmi albertynami – naprawdę czuło się, że jesteśmy jedną rodziną i mamy jednego Ojca, a dziedzictwo, które nam pozostawił jest



wspólne. Pamiętamy też przemówienie Siostry Starszej przed Mszą świętą i homilię arcybiskupa Mokrzyckiego, które ukazywały Brata Alberta z całą prostotą, bez jakiegś patetyczności, jako zwykłego człowieka, w którym Pan Bóg sprawił niezwykle rzeczy. Bardzo wymowny był widok podarowanego przez Braci i Siostry obrazu „Ecce Homo” ustawionego w prezbiterium. Grube, proste drewniane ramy bardzo mocno kontrastowały z barokowym wystrojem katedry. Ten widok chyba najwięcej mówił o tym, czym żył Brat Albert – ten sam Pan obecny w tak pięknej świątyni jest obecny w drugim człowieku i to tym odrzuconym, a bogactwo jest w Jego ubóstwie. Zwróciliśmy też uwagę na postawę abpa Mokrzyckiego, który z całą prostolinijnością i otwartością witał się po Eucharystii z przypadkowo spotkanymi ludźmi, bez wymawiania godząc się na zrobienie wspólnych zdjęć.

Przez te krótkie dwa dni mogliśmy nieco zaczerpnąć z olbrzymiego dziedzictwa duchowego i kulturowego naszych wschodnich braci oraz trochę poznać ich mentalność. Mamy świadomość, że jest to kropla w morzu, ale bardzo cenna i rzucająca jakiś nowy promień światła na postać naszego Założyciela, bo przecież pierwsze rysy „znieważonego Oblicza” powstawały właśnie tam – wśród murów lwowskich kamienic.

siostry nowicjuszek



Kościół dominikanów pw. Bożego Ciała - obecnie cerkiew greckokatolicka Najśw. Eucharystii



Pielgrzymka bezdomnych

W XXXIV Pieszej Pielgrzymce Krakowskiej w grupie „29” (z parafii św. Brata Alberta), prowadzonej przez ks. Krzysztofa Wąsa, szło siedmiu naszych braci bezdomnych. Towarzyszył im p. Mieczysław Cieślik i s. Agnieszka Konefał, a przez jeden dzień także s. Teresa Maciuszek, s. Beata Salawa i siostry postulantki.

Wielkim wydarzeniem stała się prośba o chrzest jednego z tych braci. W czwarty dzień pielgrzymowania bp Jan Zając udzielił mu sakramentów inicjacji chrześcijańskiej. Po powrocie bracia podzielili się swymi świadectwami: „W sercu jest większy pokój i nadzieja”; „Sześć dni pielgrzymowania to jeszcze nie jest wielki wyczyn, najważniejsze jest to jak ja będę teraz żyć, czy coś z moim życiem zrobię, czy chcę zmienić to co jest złe. Muszę powiedzieć, że zapaliła się we mnie isierka, żeby zmieniać swoje życie – umówiłem się z ks. Krzysztofem na rozmowę, myślę że doprowadzi mnie to do spowiedzi”; „Obawiałem się że nie dojdę, ale bardzo ważne jest mieć cel w życiu, ja chciałem choć na chwilę pomodlić się przed obrazem Matki Bożej”; „Dla mnie niesamowita była jedność naszej wspólnoty, mimo drobnych, życiowych upadków, w naszej wspólnocie była jedność: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”; „Cieszę się, że mogę być już na łonie

Kościola, otrzymałem ogromną łaskę na pielgrzymce: Chrzest, Komunię św. i Bierzmowanie”.





Pierwsze śluby sióstr

W uroczystość Matki Bożej Częstochowskiej pięć sióstr nowicjuszek ślubowało Bogu na jeden rok czystość, ubóstwo i posłuszeństwo. Uroczystej Eucharystii przewodniczył o. Izidor Wróbel. W uroczystości oprócz sióstr albertynek wzięła udział najbliższa rodzina – m. in. siostra bliźniaczka :).



Pierwsza profesja zakonna jest ważnym zobowiązaniem, które podpisuje się w specjalnej księdze. Choć składa się ją „na rok”, to jednak serce oddaje się Panu Bogu na zawsze i siostra staje się osobą konsekrowaną, poświęconą Panu Bogu.



Śluby wieczyste braci

Wspólnota braci cieszy się ślubami wieczystymi dwóch albertynów. Po okresie rozeznania i przygotowań, decyzję o ostatecznym oddaniu się Jezusowi przez profesję rad ewangelicznych podjęli bracia: Jakub Pawłos i Wincenty Raszka.

Brat Jakub śluby wieczyste złożył w dniu 28 sierpnia na Jasnej Górze w kaplicy obrazu Matki Bożej Częstochowskiej – Fundatorki Zgromadzenia. Głównym celebrazem był ks. bp Jan Sobilo z diecezji charkowsko-zaporoskiej na Ukrainie.

Brat Wincenty śluby złożył w dniu 31 sierpnia w swoim rodzinnym Cieszynie. Mszy św. przewodniczył proboszcz parafii św. Elżbiety, ks. Jacek Gracz.

Życzymy Neoprofeso radości płynącej z oddania się Chrystusowi i codziennej wierności podjętym zobowiązaniom.



Odpust bł. Bernardyny

22 września, w dzień liturgicznego wspomnienia bł. Bernardyny, uroczystą Mszę św. w sanktuarium „Ecce Homo” sprawowało dziewięciu kapłanów i dwóch biskupów: przewodniczył arcybiskup Wacław Depo, a homilię wygłosił bp Tadeusz Rakoczy.



Kalatówki. Sympozjum o wymiarze kontemplacyjnym

W Zakopanem na Kalatówkach siostry i bracia spotkali się na sympozjum pt. „Kontemplacyjny wymiar albertyńskiego charyzmatu”. Wykłady i rozmowy wplecione były w dzień wypełniony wspólną modlitwą.

W dzień rozpoczęcia o. Tadeusz Starzec OFMCap wygłosił referat pt. „Charakter i cel pustelni wg św. Franciszka z Asyżu. Milczenie pustelni – po co i dlaczego?”.

Drugiego dnia wygłoszono trzy referaty: br. Marek Bartoś – „Pustelnia w zamyśle św. Brata Alberta”, s. Stanisława Gorczyńska – „Rola Pustelni w formacji i realizacji charyzmatu posługi ubogim”, ks. prof. Krzysztof Guzowski – „Pustelnia miejscem budowania głębokich relacji z Bogiem i człowiekiem”.

W ostatni dzień uczestnicy sympozjum pracowali w grupach. Podsumowania dokonali Brat Starszy Franciszek i Siostra Starsza Krzysztofa.





Parafia św. Brata Alberta w Radomiu

Na przełomie roku 2013/2014 parafia świętowała jubileusz XXX-lecia. Centralne uroczystości, pod przewodnictwem biskupa Henryka Tomasika, odbyły się 17 czerwca 2014 roku.

Przez wiele lat, od 1983 roku, na osiedlu Prędocinek praca duszpasterska była prowadzona w tymczasowej drewnianej kaplicy pw. św. Brata Alberta. 1 października 1984 roku bp Edward Materski erygował nową parafię, do której tworzenia został powołany ks. Henryk Podgórski. Cztery lata później kaplicę zniszczył pożar i odbudowano ją już jako murowaną. Budowę nowego kościoła w tym samym roku rozpoczął ks. dziekan Marian Ślusarczyk. 25 grudnia 2004 roku bp Zygmunt Zimowski odprawił pierwszą Mszę św. – pasterkę w nowej świątyni, wybudowanej według projektu Leszka Szkutnika i Stanisława Ziomka. Sześć lat później konsekrował ją bp Henryk Tomasik. (Ołtarz poświęcony Bratu Albertowi - zob. s. 3 okładki).

Na stronie www.albert.radom.pl można zobaczyć, jak działa młoda parafia, bogata w małe wspólnoty i ruchy, takie jak Rodzina Różańcowa, Akcja Katolicka, Ruch Światło-Życie (Domowy Kościół, Oaza Młodzieżowa, Oaza Dziecięca), Wspólnota Odnowy w Duchu Świętym, Służba

Liturgiczna (Lektorzy, Ministranci, Schola Młodzieżowa, Schola Dziecięca, Chór Parafialny). Pracę duszpasterską wspomaga prężnie działająca Rada Parafialna, a Parafialny Zespół Caritas i Katolicka Poradnia Rodzinna wspomagają parafian potrzebujących wsparcia materialnego czy fachowej rady.

Świadectwem pięknego życia parafii jest publikacja książkowa: *Moja parafia. XXX-lecie parafii pw. Św. Brata Alberta w Radomiu 1983-2013*, opracowana przez prezesa Parafialnego Oddziału Akcji Katolickiej, pod opieką proboszcza – ks. kan. Mariana Ślusarczyka.



Głos z Pakistanu

br. Euzebiusz Dyduch

Relacja z naszej misji po dwóch miesiącach pobytu w Karaczi.

30 czerwca 2014 r. o godz. 14.45 tureckimi liniami lotniczymi wylecieliśmy z lotniska w Warszawie-Okęcie do Karaczi z przesiadką w Istambule. Zgromadzenie wysłało trzech braci: Bernarda, Józefa Marię i Euzebiusza. Na dwa tygodnie poleciał z nami brat Starszy Franciszek, aby pomóc nam zainstalować się w nowym miejscu. Lot w komfortowych warunkach prze-

biegł spokojnie. Na miejscu byliśmy o godz. 4.00 rano pakistańskiego czasu /3 godz. do przodu w porównaniu z polskim czasem/. Na lotnisku czekały na nas trzy osoby: Baji – wolontariuszka z Malty w której domu mieszkamy z kierowcą oraz ks. Shahzad – wikary z parafii na terenie której znajduje się nasz dom. Dwoma samochodami przyjechaliśmy na miejsce. Dom znajduje się w dzielnicy Malir w pld.-wsch. części tego prawie 20 milionowego





miasta, niedaleko lotniska. Mieszkamy w byłym klasztorze sióstr Franciszkanek Misjonarek Miłości, z 50 bezdomnymi mężczyznami oraz Baji. Ośrodek zajmuje ok. 2 ha ziemi, ogrodzony wysokim murem. Wszystko co potrzebne do życia czekało na nas przygotowane. 2 lipca byliśmy z wizytą u ordynariusza Karaczi arcybiskupa Józefa Coutts. Na razie nie została otwarta nowa placówka Zgromadzenia, jesteśmy na zasadzie studentów, którzy uczą się języków /angielskiego i urdu/ i pomagamy Baji w prowadzeniu domu. Baji sama prowadzi ten dom od 11 lat, a w Pakistanie na misjach jest już 33 lata, kobieta z charyzmą. Około 300 osobom pomogła wyjść z więzienia, którzy latami tam przebywali, bo np. nie mieli dokumentów. Niektórzy z nich są mieszkańcami domu. Ponadto katechizuje dzieci i dorosłych, rozszerzyła w wielu miejscach kult do Bożego Miłosierdzia. Jest znaną i rozpoznawalną osobą w Karaczi i nie tylko. Niezastąpiona dla nas też jako nauczycielka angielskiego i urdu. Nasi podopieczni kochają ją jak mamę a ona ich jak swoje dzieci. Na dzisiaj 13 mieszkańców jest katolikami, modlą się z nami codziennie na Mszy św. i różańcu /msza św. jest w j. angielskim, różaniec w j. urdu/. Po kilku dniach pobytu uruchomiliśmy łączność ze światem, a pierwszą rozmowę przez skype odbyliśmy z br. Markiem ze Lwowa. 8 lipca mimo że to czas

wakacji rozpoczęliśmy naukę urdu, naszym nauczycielem jest muzułmanin Shahid Hussain Khan – malujemy zatem arabskie literki jak pierwszoklasiści od tyłu zeszytu i od prawej do lewej strony. To zresztą nie jedyna odmienność w Pakistanie, po ulicach pojazdy poruszają się lewą stroną. Na ulicy panuje totalny chaos w porównaniu z Europą. Często pojazdy jadą pod prąd, na dachach autobusów siedzą ludzie, na środku ulicy wysiadają z autobusów, jeżdżą z otwartymi drzwiami, na schodach stoją ludzie, osły ciągną wózki, popularnym środkiem komunikacji są ryksze, motory różnego kalibru, piesi, w tym wiele dzieci chodzących po ulicy. Na dodatek wszyscy naciskają klaksony. Tutejsze ulice trzeba zobaczyć, bo opisać nie sposób. Tutejsza kuchnia jest bardzo pikantna. Pakistańczycy jedzą codziennie ryż i czapati /w miejsce naszego chleba, coś w rodzaju naszych naleśników/ z ostrym sosem popijając wodą. Ponadto lubują się w bardzo słodkiej kawie i herbacie z mlekiem z równie bardzo słodkimi słodyczkami. Jedzą też sporo warzyw i owoców, które dojrzewają przez cały rok. Najbardziej popularne to: mango, banan, cziku, granat, brzoskwinia, kokos, arbuz, melon, winogrona ale też jabłka i śliwki. My póki co po części ratujemy się polską kuchnią bez wieprzowiny. Klimat w tej części kraju jest też bardzo gorący, dniem 40



stopni, nocą 30, czasem czujemy się jak w piekarniku albo saunie. Cały rok można się kąpać w oceanie indyjskim, ale uwaga !!! w tej kulturze w ubraniu. Deszczu praktycznie nie ma. Nie zdały też egzaminu nasze habity misyjne, są za ciepłe, chodzimy zatem najczęściej w cienkich przewiewnych strojach pakistańskich. 14 lipca, po oglądnięciu przez internet finału mistrzostw świata w piłce nożnej w Brazylii, o 3 w nocy odwieźliśmy na lotnisko brata Starszego, który wrócił do Krakowa. Jedną z sióstr nazaretanek, z którą przygotowywałem się w Warszawie

do misji, a która przeczytała wiele książek o Pakistanie, często mi powtarzała: Euzebio Pakistańczycy to bardzo dobrzy ludzie. I rzeczywiście spotykamy się z niespotykaną ich życzliwością, otwartością, gościnnością, w wielu wspólnotach przyjęto nas wręcz po królewsku. Tutejszy Kościół jest młody, żywy i rozpiewany. Odwiedziliśmy dotychczas trzy wspólnoty zakonne w Karaczi: siostry dominikanki klauzurowe /ich klasztor znajduje się niedaleko naszego miejsca zamieszkania, na terenie tej samej parafii, mieszka w nim kilkanaście sióstr





i jest to jedyny klasztor klauzurowy w całym Pakistanie/; Zgromadzenie Sióstr Córek Maryi/ prowadzą bursę dla dziewcząt, a jedna z ich sióstr dr Ruth Pfau z Niemiec całe swe życie poświęciła leczeniu trędowatych, ma na tym polu wielkie zasługi, jest nazywana Matką Teresą pakistańską; mieliśmy okazję kilka razy z nią się spotkać odwiedzić jej szpital i leprozorium /, Braci Franciszkanów Mniejszych /dwa dni mieszkaliśmy u nich, uczestniczyliśmy w ich uroczystościach związanych z jubileuszem klasztoru, w obłóczynach 2 braci, pierwszych ślubach 4 braci nowicjuszy i odnowieniu profesji czasowej przez 11 braci juniorystów/. W klasztorze franciszkanów spotkał się pierwszą Polkę, s. Pulcherię /tzn. piękna/ ze Zgromadzenia sióstr Misjonarek Miłości z Nowego Śącza. To taki miły i sympatyczny akcent na misjach, spotkać rodaczkę. Mieszka w Karaczi we wspólnocie z 3 siostrami z Afryki. Brat Bernard odwiedził więźniów w mieście Hyderabad,

wszyscy odwiedziliśmy cmentarz katolicki w naszym mieście, duży, pięknie utrzymany, większość nagrobków wykonana z białego marmuru, spoczywa na nim 58 Polaków /dzieci, młodych i dorosłych, którzy w latach 1942-1945 wracając z sowieckich łagrów tutaj zakończyli wędrówkę, najmłodsze dziecko miało jeden dzień życia/. 18 sierpnia w ramach wizytacji naszej parafii nawiedził nasz dom, zjadł z nami kolację, emerytowany abp Karaczi Evaris Pinto, żywo interesował się naszymi warunkami życia i planami na przyszłość. Z innych jeszcze ciekawostek z naszej misji...

- do tutejszych kościołów i kaplic wchodzi się bez obuwia, liturgię sprawuje się na bosaka, wierni siedzą w kuckach na matach;
- część życia spędza się na dachu, możliwość noclegu, posiłku, rekreacji itp. Ubodzy często nie mają dachu w swoich domach;



- muzułmanie ze swoich minaretów wzywają całe miasto do modlitwy codziennie pięć razy i modlą się głośno w j. arabskim o godz.: 04.20; 13.30; 17.30; 19.25 i 20.30. Mamy więc wcześniej pobudkę. Do meczetów mogą wchodzić tylko mężczyźni. Muzułmanki modlą się w domu;
- muzułmanki na motocyklu jeżdżą siedząc bokiem do kierunku jazdy, nie są sprzedawczyniami;
- nie spotkaliśmy jeszcze pijanego człowieka;
- w naszym domu i ogrodzie panuje duch franciszkański, posiadamy: 3 psy rasy afgańskiej, 17 kotów, 4 kaczki, ok. 20 królików, półmetrową jaszczurkę żywiącą się węzami, po naszych pomieszczeniach urzędują gekony, na drzewach myszowiewiórki, latające ssaki czyli nietoperze, a nasz ornitolog, brat Bernard na razie zidentyfikował następujących braci fruwających: stada jastrzębi, kawek, lali i samotników: białe czaple, zielone papugi, dudki, dzięcioły i kolibry.

Pozdrawiam serdecznie wszystkich czytelników Głosu Brata Alberta i dziękuję za różne formy pamięci o nas.

Jak można wspomóc Zgromadzenie Braci Albertynów?

Będziemy niezmiernie wdzięczni za modlitwę w intencji dzieł albertyńskich, jak również za wsparcie materialne.

W chwili obecnej najważniejszą potrzebą Zgromadzenia jest budowa Domu Miłosierdzia we Lwowie. Projekt ten będzie obejmował przytulisko dla 30 bezdomnych mężczyzn, kuchnię wydającą posiłki dla 300 osób dziennie i łóżnię obsługującą 40 osób dziennie.

Zgromadzenie Braci Albertynów
ul. Krakowska 43, 31-066 Kraków

Bank Pekao S. A., III
O/K-ów - Krakowska 46,
Kod SWIFT: PKO PPLPW
Konto PLN:
21 1240 2294 1111 0000 3718 5503



List z Syberii

s. Samuela

Kochani Przyjaciele!

Pozdrawiam serdecznie z już mroźnej ale pięknej i słonecznej Syberii. Jestem tutaj już ponad miesiąc i czuję się bardzo dobrze. Gdy wysiadłam z samolotu w Irkucku to najpierw poczułam powiew świeżego, czystego powietrza i zobaczyłam brzask zorzy, bo tutaj był wczesny ranek. Wtedy powiedziałam sobie: „Samuelu, oto twoja ziemia” – i taką się staje.

Po przyjeździe na Syberię można zweryfikować wiele opinii, które krążą na jej temat. Choć misjonarz czy misjonarka jedzie do kraju misyjnego nie po to, aby podziwiać przyrodę, jednak nie można na Syberii nie podziwiać. Przepiękny niebieski kolor nieba, i brzozy, których jest bardzo dużo a biel ich kory jest taka bielusińska; śliczne. Mały Książę mówił, że „kiedy jest bardzo smutno to kocha się zachody słońca”, są one tutaj prześliczne, ale ja kocham wschody, ta gra i taniec barw na niebie – nieziemskie widoki. I przychodzi na myśl... „ani oko nie widziało...” – jak cudna musi być wieczność, skoro tu na ziemi takie cudeńka. Syberia może też kojarzyć się z ogromną przestrzenią i tak jest; jak powiedział Ks. Bp

Klimowicz: „400 kilometrów to rzut beretem”.

Największym zaskoczeniem dla przyjeżdżających na Syberię jest zupełnie inne życie. Staram się jak najszybciej wejść w tutejszą rzeczywistość i jak najlepiej podjąć swoje zadania. Pobyt tutaj traktuję jako realizację słów Jezusa: „idźcie i głoscie Ewangelię”. Cóż może być piękniejszego, niż być pomocnikiem w żniwie Pańskim? Przez różne spotkania i działania zbliżamy ludzi do Boga i to na ziemi tak niedawno skazanej na całkowitą ateizację, na „mojej” ziemi, którą wiele razy w swoim życiu polecałam Bogu ze względu na historię i tylu ludzi, którzy na tej ziemi doświadczyli wszystkiego. Tak sobie myślę, że to piękno krajobrazu i bardzo dużo słońca tak zewnętrznie dodawało sił tym umęczonym i uciemżonym ludziom. Teraz u nas już dużymi krokami zbliża się syberyjska zima, choć jest dużo słońca, to wszyscy przygotowujemy się do tej prawdziwej zimy. Ja jeszcze nie wiem jak ona tutaj wygląda, ale z opowiadań dzieci i ich zachęt wiem, że damy radę. Jak mi tłumaczyć: „siostró, zima mroźna, piękna ale dłuuuuga...”.



Tutaj głównym zadaniem naszym jest pokorna obecność i ciche świadectwo, dawane przez pomoc biednym czy pracę z dziećmi i młodzieżą. Często doświadczam tego, jak Pan Bóg daje nam dowody swojej miłości. Z jednej strony niełatwe sytuacje codzienne do rozwiązania, z drugiej Jego miłująca obecność wśród nas, Jego hojność i nieskończona miłość. Nadużywanie alkoholu jest tutaj niemałym problemem. Kobieta pijana zdaje się nie wzbudzać sensacji. Ginie gdzieś poczucie wstydu. Wiele pracy trzeba poświęcić tutejszej rodzinie, wielu ludzi żyje w niesakramentalnych zwią-

kach, nasila się zjawisko samotnych matek, bardzo młodych zresztą. Więzy rodzinne są bardzo słabe. Do naszej świetlicy przychodzi dużo młodych, to bardzo fajni, utalentowani ludzie, nie wierzą jednak w swoje siły, nikt im nie powiedział że są kochani, wartościowi. Wiele osób jest poranionych sytuacjami rodzinnymi. Można powiedzieć, że smutnym standardem stała się rzeczywistość życia w rozbitych rodzinach. Te dzieci i młodzież potrzebują, by się nimi zająć, bo one mają wiele talentów; dla nas jest najważniejsze, aby wszczepić w ich serca dobro, aby oni poczuli się kochani i potrzebni. Kiedy





zrobią coś podczas zajęć w świetlicy i przyjdą pokazać i usłyszą, że pięknie, to pojawia się na ich twarzach prześliczny uśmiech i w oczach iskierki, wiele bym dała żeby ten uśmiech na stale zagościł w ich sercach i na ustach. Bo... najpiękniejsza jest walka o człowieka, o jego piękno i szczęście, o jego życie, o jego uśmiech i radość. Wzruszające są sytuacje, kiedy dzieci same biedne, przychodząc do nas niosą w garsteczce kilka maleńkich kosteczek chleba usmażonych na patelni i z radością pokazują, że to mama zrobiła – to bardzo ważne, i dzielą się z nami. Tak naprawdę to dobre te „nasze dzieci” małe i duże pomimo tego, że czasem sprawiają, że temperatura dochodzi do 100 stopni. Ale nie na długo, bo nie mija wiele czasu i potrafią człowieka schłodzić i mile pocieszyć. Wiele młodzieży jest zagubiona, szuka dróg wyjścia tam, gdzie nie ma perspektyw. Jeśli nie da się im perspektyw i możliwości rozwoju, utoną w nałogach i innych patologiach. Potrzeba dużo modlitwy za tę młodzież, aby widziała sens swojego życia i nadzieję i aby szukała jej w Kościele.

Bardzo ciekawe są też spotkania z dorosłymi, to piękni ludzie, choć smutni. Zawsze gdy mam okazję posłuchać tych ludzi, zadziwia mnie głębia refleksji i trafność duchowych intuicji i poszukiwań, potrafią szczerze i odważnie mówić o Bogu i o Jego roli w ich życiu; choć jest to niewielka

liczba, ale są to filary podtrzymujące wiarę. Ludzie ci przez dziesiątki lat żyli tu bez Pana Boga. Nie było księży i żadnych nabożeństw.

Dlatego każdego dnia dziękuję Bogu, że posłał mnie na tę ziemię i do tych ludzi. Jestem wdzięczna Bogu, że mogę służyć nie tylko potrzebującym dzieciom, ale także Polakom, którzy tyle wycierpieli na tej ziemi. Proszę o modlitwę za ten Kościół mały w liczbę, aby był wielki wiarą. Tak mi się wydaje i tak to czuję, że to co robimy tutaj to zasługa wielu. Także Was kochani. Takie są właśnie misje. To nie praca jednego, ale to ewangeliczne przedsięwzięcie wszystkich. Dlatego dziękuję za modlitwy – to nasza „wyższa siła”. Bo jeśli ja nie będę na tej ziemi Jego świadkiem, to innych nie będzie, a tylu ludzi czeka na Jego świadectwo; jeśli ja przegapię Jego przyjście każdego dnia w przeróżnych sytuacjach, to nikt Mu nie pomoże...

Chciałoby się jeszcze napisać coś z „szarej” codzienności... Szarej?! – chyba nie istnieje taki kolor na Syberii... no może jak spojrzeć na kurz na drodze... ale on też jest ładny i tworzy klimat... Codzienność przyprawia o zawrót głowy... niekoniecznie tylko kolorami czy zapachami, ale i niespodziankami. To chyba taka charakterystyka życia syberyjskiego. Pełno cudów na każdym kroku...

Kończąc proszę o modlitwę za albertyńskie dzieło miłosierdzia na tej



ziemi, bez niej nie uda nam się sprostać wyzwaniom jakie stawia przed nami Pan Bóg.

Jeszcze jedno: kiedy przyjechałam i dzieci z siostrami zorganizowały przywitanie od jednego z nich dostałam małe serduszek z czerwonego papieru, troszkę wymięte w ręczce z przeżycia a na nim był napis wykonany trochę drżącą rączką „Bóg jest z Tobą”. Czyż może być piękniejszy prezent niż pewność, że Bóg jest? To był na starcie na nowej ziemi najpiękniejszy prezent! Te dzieci, te słowa, ten

napis, który jest czymś więcej niż tylko krzywym literkami na czerwonej karteczce! Z każdym z Was dzielę się tym małym a jakże wielkim i cennym prezentem. Bóg jest ze mną, z nami, tu, teraz i w wieczności. Pamiętam przed Bogiem o Was, dziękuję za godziny przyjaźni, modlitwy, Eucharystii, każdej chwili wspólnie spędzonej.

Konto na misje:

9210 2028 9200 0059 0200 2271 81





W konkursie literackim dla studentów, z racji Dni Jana Pawła II 2013 „Mądrość”, jury pod przewodnictwem prof. Zofii Zarębianki przyznało pierwsze miejsce klerykowi Maciejowi Koczajowi TChr. Pracę dotyczącą dramatu Karola Wojtyły „Brat naszego Boga” dedykował swemu bratu Albertowi Koczajowi, albertynowi. Dziękujemy za umożliwienie wydrukowania jej w „Głosie”, który publikujemy w roku kanonizacji Jana Pawła II.

Co Karol Wojtyła mówi o mądrości w dramacie „Brat naszego Boga”?

Maciej Koczaj TChr
Dedykuję Mojemu Bratu

Dramat „Brat naszego Boga” nie jest ani filozoficznym, ani teologicznym traktatem na temat mądrości. Można z niego jednak wyłuskać przynajmniej dwie koncepcje mądrości wyrastające z zupełnie odmiennych doświadczeń oraz wyraźne wskazanie na to, której z nich bliżej jest do pełni. Przyglądając się temu, jak rozumiana jest mądrość, z jednej strony przez Maksa, z drugiej zaś przez Adama, mamy szansę włączyć się w nurt rozważań o człowieku, wspólnocie, twórczości, rewolucji, słabości, nędzy i Bogu. Wsluchanie się w dialog między nimi może rzucić światło na niektóre z naszych dylematów, nadto pomóc nam uświadomić sobie wizję człowieka i świata, z jakich wyłaniają się nasze decyzje. Sprawia to, że trud wczytania się w dramat

autorstwa Karola Wojtyły wart jest podjęcia.

Mądrość Maksa

Punktem wyjścia dla rozważań o mądrości w dramacie jest dialog pomiędzy Maksem a Stanisławem, w którym to pierwszy z artystów prezentuje swoją dość interesującą, acz kontrowersyjną koncepcję twórczego życia. Z uwag Maksa poczynionych w kontekście sztuki wywieść można zbiór refleksji wychodzących daleko poza ramy estetyki. Przedstawia on mianowicie określoną wizję osoby ludzkiej oraz relacji, jakie wiążą ją ze społeczeństwem. Ponadto przybliża czym, według jego opinii, jest głębia człowieka; jego istotna – nie



zaś powierzchowna – warstwa, którą powinien w sobie pielęgnować, ażeby spełniać się jako człowiek. Sugeruje on również, jak winno wyglądać życie zgodnie z tym, co w człowieku najgłębsze i najszlachetniejsze, a takie adekwatne postępowanie nie jest niczym innym, jak właśnie mądrością.

U podstaw koncepcji Maksa leży fundamentalne twierdzenie o niekomunikowalności tego, co najgłębsze w człowieku. Artyści, do których zalicza się sam Maks, sięgają w swojej twórczości do gatunkowo najwyższych przejawów ludzkiej duszy, następnie zaś szukają dla nich odpowiednich środków zewnętrznego wyrazu. Jednak tego typu twórczość nie jest w stanie, zdaniem Maksa, włączyć innych w te wartościowe i humanizujące doświadczenia. Człowiek bowiem w tym, co dla niego zasadnicze i w sposób intymny konstytutywne, pozostaje dla innych niezrozumiały, a co za tym idzie cała jego twórczość naznaczona jest piętnem niekomunikatywności. Maks pyta Stanisława: „Czy sądzisz, że ten obywatel z Szewskiej lub Nadwiślańskiej, który warzy piwo lub klepie buty, lub nawet psuje oczy w foliach z XIII wieku – że on zdoła w sobie odtworzyć całą prawdę twoich skojarzeń, twego widzenia, twoich napięć?”. Pytanie to ma charakter retoryczny, dla Maksa bowiem odpowiedź na nie jest oczywista. Człowiek jest dla człowieka

niezrozumiały i próba komunikacji tego, co w człowieku najgłębsze, skazana jest na porażkę. Zrozumienie się w tym, co kluczowe jest niemożliwe.

Po co wobec tego podejmować trud odkrywania prawdy? Po co wyrażać tę prawdę na piśmie czy też na płótnie? Maks zdaje sobie sprawę, że musi skonfrontować się z tymi pytaniami, by nie ugrzęznąć na mieliźnie absurdu i nie stwierdzić zupełnej bezcelowości twórczego działania. Mówi do Stanisława: „Chcesz może zapytać, na co w ogóle tworzę. No w każdym razie nie dla widzów” (s. 118). Następnie dodaje, że sztuka „warta jest tyle, że mnie pobudza, daje mi ten rozpęd, ku któremu się skłania moje właściwe «ja». A dzięki temu jest mi sprawdzianem, ile jeszcze można z niego wydobyć. Przecież w końcu to jest wściekle ciekawe, jak to własne czyjeś «ja» przebiega, narasta i opada. Ale na tym koniec. Koniec (...). I to już ma swoje wystarczające znaczenie” (s. 119).

Człowiek więc, według Maksa, bada i wyraża swoje duchowe możliwości wyłącznie dla siebie. Poznanie siebie, swojej głębi, mikrokosmosu własnych myśli i wyobrażeń jest dla artysty jedyną nagrodą. Akty twórcze rejestrują poruszenia ludzkiego ducha, dają jego obraz w czasie, ukazują jego rozmaite fluktuacje. Oto cała ich funkcja. Innym, poza samym twórcą, nie komunikują nic, albo komunikują



tak niewiele i tak nieprecyzyjnie, że trudno mówić tutaj o jakimkolwiek wartościowym przekazie.

Takie rozumienie twórczości ludzkiej uchyla takie kategorie jak posłannictwo sztuki czy społeczna odpowiedzialność artysty. Artysta ma powinności wyłącznie wobec siebie. Ma utrzymywać się w twórczym na-

Solidarność nie jest „tylko nieokreślonym współczuciem czy powierzchownym rozrzewnieniem wobec zła dotyczącego wielu osób bliskich czy dalekich. Przeciwnie – jest to mocna i trwała wola angażowania się na rzecz dobra wspólnego”.

pięciu i szukać dla niego środków – coraz doskonalszych, coraz bardziej adekwatnych. O społecznym posłannictwie i odpowiedzialności powinien przestać w ogóle myśleć, gdyż może to niepotrzebnie rozpraszać jego skupienie na dziele. Maks mówi: „Zdaje mi się, że zmarniałbym, gdyby się przyszło wśród tego zawrotnego ruchu mego «ja» wciąż liczyć się z oddziaływaniem, z wpływami lub jeszcze z odpowiedzialnością” (s. 119).

Osadzenie sztuki w kontekście społecznym nie wynika, zdaniem Maksa, z jej natury, lecz wyłącznie ze społecznego konwenansu oraz pewnej dozy próżności artystów. Podporządkowanie się konwenansom zaś, podobnie

jak i próżność, to zjawiska powierzchowne, nie mające nic wspólnego z głębią, o które w sztuce idzie. Warto przytoczyć tu fragment wymiany zdań między Maksem a Stanisławem:

„- A jednak robisz wystawy. [Stanisław]

- Zwyczaj. A prócz tego niejaka część naszego «ja» domaga się poklasku. [Maks]

- Który równocześnie lekceważysz?

- O tak. W każdym z nas tkwi człowiek wymienny jak pieniądź i człowiek niewymienny, najgłębszy, wiadomy tylko sobie samemu.

- A cóż robisz z owym wymiennym? Przecież nie zbijasz mu fortuny?

- Oczywiście. Niemniej nie zamierzam z nim walczyć. Wystarczy mi prosta świadomość tamtego, który jest niewymienny, i pewna przegroda między jednym a drugim, którą w sobie noszę. Inaczej życie stałoby się poziome i głupie” (s. 119-120).

Z wypowiedzi Maksa wyłania się już powoli pewna wizja osoby i wartościowego życia ludzkiego. Osoby w tym, co najgłębsze zamkniętej w sobie, bez większych możliwości otwarcia się przed innymi i udzielenia im prawdy o sobie. Wartościowego życia polegającego na skupieniu się na sobie i życiu swojego ducha, paktowaniu zaś ze światem tylko powierzchowną częścią własnej osobowości, o ile przymusza nas do tego



konwenans społeczny lub próżność. Maks swoją wizję mądrego życia i dyscypliny, dzięki której można je w ryzach mądrości utrzymać, klaruje w następujących słowach: „[człowiek ma] stworzyć wartość z tych zasobów, które w życiu znajduje. A dlatego, że znajduje je przede wszystkim w sobie, musi się szczelnie zamknąć. W przeciwnym razie rozprószy to, co ma” (s. 130).

Głównym grzechem przeciw mądrości, takiej, jaką ją widzi Maks, jest więc rozproszenie, wypadnięcie z orbity własnego życia wewnętrznego i jego bogactwa w gąszcz spraw „poziomych i głupich”, znajdujących się poza wpływem człowieczym. Tego typu rozproszenie wydaje się być zawierzeniem złudzeniu, że można mieć realny, niepowierzchny wpływ na kształt życia drugiego człowieka. Maks w rozmowie z Adamem stwierdza dobitnie: „Ostatecznie, daruj (...) ja nie potrafię tworzyć życia i losu drugiego człowieka” (s. 129). Mądrość Maksa nakazuje mu działać wyłącznie na obszarze, na którym jego wpływ jest realny i znaczący, a więc całkowicie skupić się na sobie i swojej twórczości, będącej zewnętrznym przedłużeniem jego wewnętrznej niepowtarzalności. Mędrce wydaje się więc indywidualista, świadomy tego, że jego wpływ na losy innych ludzi i świata jest marny, dlatego też skupiający się na obserwowaniu i roz-

poznawaniu własnych wewnętrznych przypływów i odpływów oraz dążący do perfekcji w tworzeniu narzędzi i środków wyrazu pozwalających mu zdać przed sobą sprawę z głębin samego siebie.

Takie twórcze skupienie się na sobie ma, zdaniem Maksa, prawdziwą wartość społeczną, w przeciwieństwie do pozornej wartości społecznej twórczości ukierunkowanej na wpływ na drugiego człowieka i wiążącej się z kategoriami społecznego posłannictwa i społecznej odpowiedzialności. Dobitnie stwierdza to Maks, kiedy mówi Adamowi, że: „Jednostka tworzy siebie i jako jednostka dochodzi

„Nie możemy dopuścić, aby poza nami cała masa ludzka kłębiła się po ogrzewalniach, wiodła życie nieomal zwierzęce, wyłączając z niego powoli wszelką inną świadomość poza poczuciem głodu i lęku. Nie, nie!”.

do społeczeństwa. Zadanie jej jest przede wszystkim jednostkowe. Posłannictwo jednostkowe. Odpowiedzialność jednostkowa. Społeczeństwo zależy od tego, czy jednostka to swoje zadanie, posłannictwo i odpowiedzialność zdoła postawić, czy też je położy” (s. 130).

Jak widzimy Maks obok koncepcji jednostki przedstawia również swoje



rozumienie społeczeństwa. Oczywiście te dwa wymiary jego refleksji są ze sobą powiązane. Koncepcja odizolowanej poprzez komunikacyjną barierę, skupionej na sobie jednostki implikuje określone widzenie stosunków i więzi międzyludzkich. Maks tłumaczy Stanisławowi swoje rozumienie społeczności w następujący sposób: „Otóż widzisz: jest sobie zbiorowisko, po prostu zbiorowisko atomów, które krążą, każdy w swojej płaszczyźnie i swoim profilu. Ja też krążę w mojej płaszczyźnie i w moim profilu. Koniec. Co to kogo obchodzi?” (s. 119).

Widzimy wyraźnie, że nie ma w myśleniu Maksa miejsca na wspólnotę myślenia i odczuwania. Wspólnotę, a więc uczestnictwo w jakiejś większej prawdzie zdolnej uczynić organiczną jedność z wielu ludzi, któ-

„«Ecce Homo». Czy właśnie ten obraz musiał narosnąć w jego duszy od widzenia ludzi opuszczonych?»

rzy ją odkrywają, ją – każdy na swój sposób – odbijają i się nią dzielą. Jest zaś wyłącznie niejednorodna mieszanina elementów, które egzystują koło siebie, będąc zarazem od siebie szczerze odizolowane. Społeczność jest więc rzeczywistością wtórną, nie konstytuuje człowieka, którego natura nie jest wychylona ku innemu, lecz zwrócona wyłącznie ku sobie.

Każdy ma swoją płaszczyznę i swój profil odmienny i odległy od profili innych ludzi i z nimi niezbieżny. Nikt nikogo oprócz siebie w gruncie rzeczy nie rozumie, ani naprawdę nie obchodzi. Droga do mądrości wiedzie przez twórczą samotność.

Zrozumiałe jest, że Maks ze swoim postrzeganiem osoby i społeczeństwa nie jest w stanie zrozumieć postawy Adama, który stopniowo odchodzi od twórczości malarskiej na rzecz pomocy osobom bezdomnym. Próbuje nawet wpłynąć na niego, sugerując mu powrót do malarstwa. Warto przytoczyć fragment rozmowy Adama z Maksem:

„MAKS: Uważam, że powinienem malować za wszelką cenę. Powinneś sobie zadawać gwałt.

ADAM: Na to trzeba jeszcze wierzyc w sztukę, tak jak ty!

MAKS: A ty co?... Myślisz może, że się od niej uwolnisz? Myślisz, że to całe żebracze przedsięwzięcie skończy się inaczej niż kilku nowymi płótnami, które będą bardzo ciekawe, bardzo wnikliwe, które zrobią wielkie wrażenie i rozpoczną nowy okres twórczości. Ot i wszystko” (s. 132-133).

Porzucenie sztuki przez Adama jest dla Maksa z konieczności zupełnym przeciwieństwem mądrości. Sztuka bowiem, jako dziedzina twórczości, stanowi jedno z najdoskonalszych narzędzi samopoznania i jest w stanie wydobyć



z człowieka pokłady sensu i nimi go obdarować. Odcięcie się od sztuki, która jest dla artysty narzędziem rozpoznania samego siebie i własnej tożsamości, na rzecz służby ludziom, którzy nas nie rozumieją, ani nie obdarzą jakimkolwiek rozumieniem, jest w oczach Maksa głupstwem. Podobnie zresztą jak niewiara w sztukę, którą deklaruje Adam. Maks w tę niewiarę nie dowierza, jako że sam uznaje doświadczenie artystyczne za absolutne i prawdziwie mądrościowe. Odwrócenie się od niego ma zaś za upadek w przypadkowość, chaos i niemotę świata. Nie chce zaś uwierzyć, że jego przyjaciel Adam jest zdolny na dłuższą metę do zachowań tak absurdalnych.

Mądrość Adama

Mądrość Adama wyrasta z innego korzenia aniżeli mądrość Maksa. Źródłowym doświadczeniem u Maksa była trudność w przekazie tego, co najgłębsze w człowieku. W punkcie wyjścia znajdował się więc człowiek, który był w pewnym sensie bogaty – miał innym wiele do przekazania, podczas gdy oni nie byli w stanie przyswoić jego twórczego bogactwa. Ta nieumiejętność powodowała, że ów bogaty człowiek odwracał się od nich, a zwracał się ku sobie, pielęgnując postawę wzniosłej izolacji.

Doświadczenie, które stoi u podstaw mądrości Adama jest zupełnie

inne. W punkcie wyjścia znajduje się bowiem człowiek biedny, niedoma-

„Ja pójdę za nimi. (...) Myślę, że będzie to wreszcie mój styl (...). Nie, nie jest moim – zawdzięczam go”

gający i upodlony. Człowiek, którego sytuacja jest apelem o przyjsię z pomocą, o zwrócenie się ku niemu, by pomóc mu wrócić do jego człowieczeństwa. Apel ów wyrwa ze świata własnych spraw, myśli i rojeń, i przynagla do pomocy. Pomocy, która wymaga włączenia biedy bliźniego w krąg własnych spraw, a także związania z nim wspólnoty w zmaganiu o powrót do godnego życia.

Lucjan opisuje, jaki konkretny kształt przybrało to doświadczenie ludzkiej nędzy i jak rezonowało ono w osobowości Adama: „było to kiedyś podczas ostatniej zimy lub raczej na przedwiośniu. Wracaliśmy od hrabiego Z. Było nas kilku (...). Gdzieś na Krakowskiej deszcz ze śniegiem zaczął dojmująco przycinać (...). Ktoś powiedział, że trzeba przecześcić. Wchodzimy do pierwszej lepszej bramy. Adam jak zwykle, zniecierpliwiony, zaczął myszkować koło klamki. Nagle drzwi ustąpiły bez trudu. Wszyscy mimo woli cofnęliśmy się w głąb (...). Zobaczyliśmy wtedy szereg prycz lub raczej (...) legowisk ze słomy rzuconej na jakieś deski; na ich brzegu przycupnęli ludzie



(...). W tym wszystkim najgłębsze wrażenie czynił głuchy pogłos stóp Adama. Szedł on między rzędami legowisk, jakby przyciągany nieznaną siłą: szedł, szedł, od jednych do drugich (...). Potem wrócił ku nam. Wyglądał strasznie (...). Wielkie oczy przerażone. Broda i wąsy, zmoczone, dopełniły wyrazu” (s. 124).

„Braterstwo i miłosierdzie stanowią dwa płuca Adamowej mądrości”.

Obraz ludzkiej nędzy stłoczonej w ogrzewalni dla bezdomnej biedoty odżywa się w duszy Adama jakimś przypiływem solidarności. Ta zaś, jak mówił papież Jan Paweł II podczas audyencji dla Polaków w dniu kanonizacji brata Alberta: „Nie jest (...) – jak napisano w encyklice «Sollicitudo rei socialis» - tylko nieokreślonym współczuciem czy powierzchownym rozrzewnieniem wobec zła dotykającego wielu osób bliskich czy dalekich. Przeciwnie jest to mocna i trwała wola angażowania się na rzecz dobra wspólnego, czyli dobra wszystkich i każdego” (s. 111). Adam w sposób mocny i trwałe doświadcza, że bieda, którą ujrzał, woła o jego zaangażowanie i że gdyby się nie zaangażował, to zaprzeczyłby w jakiś sposób samemu sobie.

Okazywana przez Maksa obojętność na tę biedę i próba przejścia nad nią do porządku dziennego przez

wskazanie na społeczne uwarunkowania, których nie można przekroczyć, spotyka się z gniewem Adama. Wyczuć możemy tę emocję, gdy mówi on: „Nie możemy dopuścić, aby poza nami cała masa ludzka kłębiła się po ogrzewalniach, wiodła życie nieomal zwierzęce, wyłączając z niego powoli wszelką inną świadomość poza poczuciem głodu i lęku. Nie, nie!” (s. 130).

Widzimy więc główne składowe doświadczenia, które zmieniło życie Adama: ludzką nędzę oraz słuszny gniew i wolę, by być z biednymi solidarnym; by im pomóc. Warto przyjrzeć się bliżej każdemu z tych elementów, by zobaczyć, czym dla Adama była ludzka nędza i czemu w jego odczuciu uwłaczała; czym był jego gniew i jakie były jego granice; wreszcie w czym wyrażała się jego solidarność i gdzie znajdował on jej najwyższy wzór. Taka analiza przybliży nas do odkrycia tego, jakiej mądrości rzecznikiem jest Adam.

Nędza, jak można zauważyć w wyżej cytowanym fragmencie, uwłacza człowiekowi, gdyż spycha go w życie „nieomal zwierzęce” kierowane wyłącznie instynktem samozachowawczym, któremu nieodłącznie towarzyszy lęk. Skrajna bieda degraduje na ogół człowieka, sprawia, że staje się on kimś „mniej i niżej” aniżeli rzeczywiście jest. Choć nie pada tu słowo godność, to właśnie o godności



ludzkiej jest mowa. O tej szczególnej wartości, która przypisana jest każdej ludzkiej osobie.

Adam swoją głęboką artystyczną intuicją sięga podstaw tej właściwej każdemu człowiekowi godności. Jego dociekania i odkrycie nie mają charakteru filozoficznego, przeto godności nie wiąże on pierwszorzędnie z metafizyczną strukturą człowieka ujętego jako byt wolny, rozumny i zdolny do miłości. Dostrzega on ludzką godność i doświadcza jej w innych, niefilozoficznych zgoła kategoriach. Warto przytoczyć tu kluczowy fragment dramatu, w którym przedstawione jest, jak Adam przebija się przez odstręczającą nędzę człowieczą, by dostrzec godność człowieka nią dotkniętego. Rozmówcą Adama jest jakaś tajemnicza i ciemna czysta inteligencja.

„(Mijają człowieka opartego bezwładnie o latarnię)

(...) – Czemu tu stoisz? [Adam]

- Ależ cicho! Nie przerywaj mu snu – [Tamten]

- Snu? Jest wyraźnie wycieńczony i z wycieńczenia... - (nie kończy). A przy tym jest w nim coś więcej niż żebrak oparty o latarnię.

- Czyżby. Nic o tym nie wiem.

- A właśnie. W nim jest obraz.

- Ach tak, dla ciebie wszystko ma wartość obrazu. Jesteś malarz.

- Obraz pozamalarski. Obraz

nieuchwytny mojemu oku, a który trawi od dawna moją duszę.

- Nie poddawaj się. Odstąp. Zapomnij.

ADAM. (jakby nie dosłyszał) Obraz i podobieństwo.

- Podobieństwo? Czyje?

- Nie wiesz! Więc jednak jest sfera w mojej myśli, której u ciebie brak. Więc ty jednak nie wyrastasz z mojego umysłu jak własna moja myśl. Ha, odkryłem cię. Odkryłem tym obrazem i podobieństwem, którego nie chcesz znać, o którym nie chcesz wiedzieć, choć wiesz - -

A czekaj – obraz i podobieństwo. Widzisz on jest dzieckiem, on jest synem. Ja tak samo. Ty...

- Ja nie. Nigdy.

„Pewien jestem i w to wierzę, i wiem, że [człowiek] ma się dźwignąć do wszystkich dóbr. Do wszystkich. I do największych. Ale tu już zawodzi gniew, tu konieczne jest Miłosierdzie”.

- Nie? – A zatem wielkie zwierciadło świata w tobie świeci pustką, matową pustką twojego bytu, której nie rozświetla nic.

- Powiedziałem ci, że jestem inteligencją. To mi wystarcza. Tobie również.

- Usiłujesz wmówić we mnie. Jednak fakty przeczą. O, widzisz



tego człowieka opartego na słupie latarni?

- Nie przyciąga mojej inteligencji (...). Mogę go ominąć.

- O ileż w tobie brak, ileż w tobie brak.

([...] Adam dźwiga włóczęgę ramieniem. Wlece go utykając silniej na prawą nogę.)

- No chodź, przyjacielu (...). No chodź. Uratowałeś mnie”(s. 146-147).

Tym, co Adam, w przeciwieństwie do czystej inteligencji, z którą toczył dialog, potrafił dostrzec w człowieku dotkniętym nędzą, były obraz i podobieństwo Boga. Dostrzeżone przez Adama obraz i podobieństwo wydają się być odbiciem synowskiej relacji między Bogiem a człowiekiem, dla którego Bóg jako Stwórca jest Ojcem, dawcą istnienia. Umiejętność dostrzeżenia stwórczego Bożego śladu w każdym człowieku, uwrażliwia na jego godność. Co więcej pokazuje, że negacja ludzkiej godności, odmo-

*„Natrudziłeś się w każdym z nich.
Zmęczyłeś się śmiertelnie.
Wyniszczyli Cię –
To się nazywa Miłosierdzie”.*

wa jej uznania w przypadku niektórych osób czy grup ludzi, jest czymś zgoła diabelskim. Stanowi poniżenie człowieka, które dosię-

ga Boga – jego Stwórcy, czyli jest aktem bezczeszczenia.

Stwórczy związek między Bogiem a człowiekiem nie wyczerpuje zupełnie bogactwa odniesień, jakie miały dla Adama obraz i podobieństwo dostrzeżone przez niego pod powłoką nędzy w sponiewieranym człowieku. To dostrzeżenie tajemnego związku między Bogiem a ludzką nędzą znalazło wyraz w obrazie Adama zatytułowanym „Ecce Homo”. Czytamy: „Adam z obrazem człowieka. Człowieka-Chrystusa, «Ecce Homo». Czy właśnie ten obraz musiał narosnąć w jego duszy od widzenia ludzi opuszczonych?”(s. 147). Opuszczony, biedny człowiek w widzeniu Adama pozostaje w szczególnie bliskim związku z Chrystusem ponizonym na zbawczej drodze Jego męki. Dostrzeżenie tego związku obejmuje całą osobowość Adama, a on oddaje ją do dyspozycji sponiewieranego Chrystusa, gdy pyta: „Powiedz, co jeszcze mogę uczynić dla Ciebie w nich?”(s. 147).

Pytanie o to, co zrobić, aby wyjść naprzeciw prawdziwym potrzebom ubogich jest dla Adama kluczowe. Jego mądrość w tej kwestii kształtuje się w wymianie poglądów z Nieznajomym, zwolennikiem rewolucji społecznej. Ich dialog dotyczy sensu i granic, jakie wytyczyć należy uczuciu słusznego gniewu, które rodzi się wskutek dostrzeżenia nędzy.



Nieznajomy dostrzega w gniewie siłę, której wybuch jest zdolny zmieniać bieg dziejów, odświeżając stosunki społeczne i kształtując je w bardziej sprawiedliwy sposób. Mówi: „gniew jest słuszny. Chodzi o to, aby ostatecznie zerwał się, aby jakaś (...) siła wyrwała go z tawersów, z mocno nadgniętych przeseł, na których na razie zawisa”. Gdy zaś przemawia do biedoty klębiącej się w ogrzewalni, wypowiada następujące słowa: „wy macie prawo do praw ludzkich. Tymczasem prawa tego wam zaprzeczono (...). Dlaczego pozwalacie się przygniebić nędzy i tamujecie w sobie słuszny bunt? Dlaczego milczy w was gniew? Nie lękajcie się! Dostarczcie tylko gniewu, a znajdą się siły, które zdołają ująć go, wykorzystać i poprowadzić”(s. 164-165).

Rewolucyjna droga do odzyskania godności przez ludzi dotkniętych nędzą nie przekonuje jednak Adama. Mimo to, deklaruje on wdzięczność Nieznajomemu, którego radykalizm sprawia, że Adam zaczyna klarownie dostrzegać i rozumieć, w jakim stylu sam chce świadczyć pomoc ubogim. Nie jest to styl rewolucjonisty – organizatora i rozgrywającego społecznego gniewu. Warto przytoczyć tę część ich rozmowy:

„- (...) Jestem Panu ogromnie wdzięczny (...). [Adam]

- (...) Przecież nie poszedłeś za mną. [Nieznajomy]

- No oczywiście (...). Oni też za panem nie poszli.

- (...) A za panem pójda, myśli pan? Będiesz ich mógł pan zapewne nawlekać na sznurek?

- Nie. Ja pójdę za nimi.

Przedtem byłeś ty – nędzarz, a nad twoją nędzą wiało pustką. Odkąd zbliżyłeś się do Niego, upadek twój przemienił się w krzyż, a niewola twa w wolność”.

- (...) Gdzież będziesz pan spał w tej norze?

- Właściwie - oni mnie już trochę uważają za swego. Zostanę.

- Ostatecznie – jest to nawet w pańskim stylu.

- Właśnie. W końcu udało mi się wypracować ten styl (...) myślę, że będzie to wreszcie mój styl (...). Nie, nie jest moim - zawdzięczam go” (s. 170).

Adam nie wkracza na drogę rewolucyjną, gdyż w jego odczuciu podźwignięcie człowieka z nędzy do godnego życia wymaga innej dźwigni niż gniew i innej metody niż rewolucyjne zarządzanie buntem mas. Nie chce on, by biedny człowiek szedł za nim jako rewolucyjnym przywódcą, to on sam chce pójść za nim i być mu bratem. Pragnie dobrowolnie ponieść ciężar biedy i ukazywać, że nie musi ona niweczyć ludzkiej godności.



W ten zaś sposób chce wskazywać na bliskość miłosiernego Boga, który w dziele krzyża poznał otchłanie nędzy i poniżenia, odsłaniając zarazem ich zbawczy wymiar.

Braterstwo i miłosierdzie stanowią dwa płuca Adamowej mądrości. Jego słuszny gniew będący reakcją na poniżenie człowieka dojrzewa i właśnie

„...gdzie zdawało się, że już nic Bózego nie ma w człowieku, tam ten człowiek posłany od Boga, któremu było na imię Albert, umiał jeszcze coś Bożego znaleźć, umiał jakąś iskrę Bożą wykrzesać w duszy ludzkiej, która nigdy, jakkolwiek bardzo byłaby spodlona i upadła, nigdy nie przestaje być obrazem i podobieństwem Boga”.

w tych dwóch postawach odnajduje swój właściwy wyraz. Te postawy pozostają ze sobą w ścisłym związku, przez co zaburzenie równowagi między nimi rodzi zatrute owoce, nawet pomimo dobrych intencji. Z takim zaburzeniem mamy z pewnością do czynienia w przypadku Nieznajomego, zasugerowane zostaje ono również w przypadku Wujka Józefa.

Nieznajomy, jako orędownik braterstwa na służbie rewolucji, objawia skrajną niechęć wobec miłosierdzia. Jego zdaniem, miłosierdzie świadczane przez uprzywilejowanych sta-

nowi chwilowe znieczulenie dla ich sumień, dzięki któremu mogą unikać autentycznej solidarności; z kolei przyjmowane przez biednych uzależnia ich od łaski bogatych, nie pozwala dostrzec podłości systemu i tamuje strumień skierowanego przeciw niemu słusznego gniewu. Dlatego też mówi do biednych: „Nie oczekujcie miłosierdzia! Miłosierdzie was poniża. Wy go nie potrzebujecie. Zrozumcież, że wam się po prostu należy to wszystko. Nic z łaski. Miłosierdzie jest ponurym cieniem, w którym tajemniczy, niepojęty bogacz usiłuje ukryć swe oblicze – ale w tym cieniu chce równocześnie pogryźć wszystkich was – waszą sprawę, waszą słusność, wasz gniew. Strzeżcie się apostołów miłosierdzia! Są waszymi wrogami” (s. 165).

Nienawiść wobec miłosierdzia oraz złożenie całej ufności w gniewie są, według Adama, pomyłką. Dzięki słusznemu gniewowi można osiągnąć wiele, niemniej głównie w świecie dóbr zewnętrznych, w którym człowiek nie odnajduje pełni swojego losu. Człowiek potrzebuje bowiem, również i przede wszystkim, lekarstwa na swoją wewnętrzną biedę, na to co pustoszy jego duszę. Najwyższe z dóbr: odkupienie grzechów i zbawienie muszą zostać mu udzielone. Przynależą one bowiem do porządku łaski, a źródło swoje mają w miłosierdziu. Tę właśnie myśl Adam wyraża,



gdy mówi: „Nędza człowieka jest głębsza niż zasób wszystkich dóbr (...). Tych wszystkich, do których może on się dźwignąć o sile własnego gniewu (...). Natomiast pewien jestem i w to wierzę, i wiem, że [człowiek] ma się dźwignąć do wszystkich dóbr. Do wszystkich. I do największych. Ale tu już zawodzi gniew, tu konieczne jest Miłosierdzie” (s. 169).

Wuj Adama z kolei świadczy miłosierdzie, opiekując się sierotami. Jednak, jak sugeruje Adam, nie brata się z dziadami (s. 159). Takie miłosierdzie bez „zbratania się” nie osiąga pełni. Podsyte może być bowiem egoistycznymi pobudkami, które podpowiadają, by postępować w określony sposób po to, aby poczuć się lepiej, czy też zagłuszyć jakiś wyrzut sumienia. Naznaczone jest również na ogół poczuciem wyższości. Nie szuka wtedy głębszej więzi w doświadczeniu godności osoby oraz tych elementów człowieczego losu, które są wspólne wszystkim ludziom, lecz skupia się na zewnętrznych działaniach w obrębie ostrego rozróżnienia pomiędzy człowiekiem biednym a bogatym. Dialog między Adamem a Wujem wskazuje, że prawdziwe miłosierdzie powinno być scentrowane na drugim człowieku i wolne od najmniejszego nawet cienia wyższości.

Wzorem takiego miłosierdzia jest Chrystus. To miłosierdzie jaśnieje w Nim szczególnym blaskiem,

zwłaszcza podczas drogi krzyżowej. Wpatrując się w obraz wyniszczonego Chrystusa, który w swoim miłosierdziu stał się bratem każdego człowieka w najtrudniejszych życiowych doświadczeniach, Adam wypowiada następujące, bardzo wymowne słowa: „Natrudziłeś się w każdym z nich. / Zmęczyłeś się śmiertelnie. / Wyniszczyli Cię – / To się nazywa Miłosierdzie. // Przy tym pozostałeś piękny. / Najpiękniejszy z synów ludzkich. / Takie piękno nie powtórzyło się już nigdy później – / O, jakież trudne piękno, jak trudne. / Takie piękno nazywa się Miłosierdzie” (s. 160).

Rozważania o nędzy, gniewie i miłosierdziu podprowadziły nas pod Adamowe rozumienie mądrości. Jej określenie napotykaemy w rozmowie Adama z Hubertem. Posiąść prawdziwą mądrość oznacza mianowicie „widzieć świat w wymiarach nędzy i upodlenia, i wiedzieć, ale to wiedzieć dokładnie, gdzie z tym wszystkim spotyka się Bóg, jaka nędza go do ludzi przybliży, a jaka od nich oddala” (s. 177). Widać w tym rozumieniu kumulację Adamowego doświadczenia: dostrzeżenie nędzy, odrzucenie ślepej uliczki polegania wyłącznie na gniewie i otwarcie się na Boga-Człowieka, który stał się nam bratem w cierpieniu. Adam nie wymyśla własnej koncepcji mądrości. Wierny własnemu doświadczeniu staje się rzecznikiem mądrości krzyża. Odsłania również



przed nami, na czym polega życie tą mądrością i jej dzieło, gdy mówi do braci: „W każdym z was wiedziałem o nędzy i – o Nim. Długo przebywali z dala od siebie. Ze wszystkich sił starałem się ich przybliżyć. Bo przedtem byłeś ty – nędzarz, a nad twoją nędzą wiało pustką. Odkąd zbliżyłeś się do Niego, upadek Twój przemienił się w krzyż, a niewola twa w wolność” (s. 182). Zbliżyć w człowieku obecną w nim nędzę do obecnego w nim Boga – oto dzieło mądrości.

Mądrość Maksa opiewa samotność, twórczość i jej doskonałość. Przestrzega przed rozproszeniem sił na działania, których efekt musi być cząstkowy i wątpliwy. Za ideał stawia wzniosłą izolację artysty wywyższonego ponad tłum. Mądrość krzyża, którą głosi Adam jest widzeniem, jak ludzka nędza spotyka się z pokornym, skracającym dystans i tworzącym prawdziwe braterstwo miłosierdziem Boga. Jest nadto podejmowaniem próby doprowadzenia do tego spotkania w sobie i w innych ludziach, zwłaszcza społecznie wykluczonych. Propozycja Maksa dostępna jest jedynie dla nielicznych dysponujących wielkimi talentami. Mądrość krzyża jest zaś bez wątpienia bramą ciasną, a jednak otwartą dla każdego. Propozycja Maksa jest ofertą na dobre, twórcze dni, mądrość krzyża potrafi zaś rozświetlić sensem również dni jałowe, brzydkie, po ludzku przegrane. Stąd,

nie ulega kwestii, że mądrość krzyża jest głębsza i bardziej uniwersalna aniżeli światowa mądrość Maksa. Jej umocowanie jest zaś solidniejsze, gdyż gwarancje i potwierdzenie daje jej sam Bóg.

A jednak właściwe stylowi Adama zrównanie się w biedzie oraz skupienie na ludzkiej słabości, przy jednoczesnym zaniedbaniu przez niego twórczości artystycznej, może prowokować zarzut, że mądrość, którą głosi, prowadzi do marnotrawstwa talentów; wyjałowienia twórczego potencjału człowieka. Odpowiedzią na ten zarzut, a zarazem zwieńczeniem niniejszej pracy, niech będą słowa Karola Wojtyły o pracy Adama Chmielowskiego wypowiedziane niegdyś w jego rodzinnej miejscowości: „Nie była to, zdawać by się mogło, praca twórcza, nie powstawały żadne dzieła pędzla, żadne dzieła kultury artystycznej, ale powstawały o wiele większe od tych, dzieła Boże w ludziach, a najznamienitszym było to, że te dzieła Boże powstawały z ochłapów i z łachmanów. Tam gdzie zdawało się, że już nic Bożego nie ma w człowieku, tam ten człowiek posłany od Boga, któremu było na imię Albert umiał jeszcze coś Bożego znaleźć, umiał jakąś iskrę Bożą wykrzesać w duszy ludzkiej, która nigdy, jakkolwiek bardzo byłaby spodlona i upadła, nigdy nie przestaje być obrazem i podobieństwem Boga” (s. 53).



Szara godzina

Małgorzata Tuszyńska

„Ile minut w godzinie, a godzin w wieczności, tylekroć bądź pochwalon, Jezu ma miłości”... Słowa tej pięknej pieśni, która wybrzmiewa głównie przy adoracji Najświętszego Sakramentu „przyszły” do mnie, gdy zastanawiałam się jak rozpocząć refleksję nad obrazem Adama Chmielowskiego. „Szara godzina”... Godzina, która składa się z minut i sekund... szarość, która dla malarza składa się z bieli i czerni... Ile godzin w wieczności... – ile barw we wszechświecie, tyle tysięcy razy niech będzie ukochany mój Pan Jezus miłości najgodniejszy! Ten Pan Jezus obdarzył Adama talentem plastycznym z wyróżniającą go predyspozycją znakomitego doboru kolorów i kreowania nastrojów, mogących nosić miano nawet mistycznych.

Właśnie obraz „Szara godzina” należy do grupy dzieł malarskich zwanych „stimmungowymi”, które odzwierciedlają umiejętności harmonizowania barw o niskiej skali intensywności, jednocześnie operując ich drobnymi różnicami w tonach, a zarazem oddziałując na obserwatora swoim tajemniczym nastrojem, wzruszając, „zawieszając” zmysły, a co za tym idzie zapraszając do kontemplacji. W obrębie omawianego dzieła ten nastrój zaistniał przez przedstawienie nekropoli w lekko błyszczącej szarości kończącego się dnia, nasyconej słabym blaskiem światła słonecznego. Aby dopełnić charakterystyki obrazu i przejść do refleksji duchowej, pragnę zwrócić uwagę na kilka istotnych cech określających w całości, z jakim dziełem





mam tutaj do czynienia. Moją uwagę przykuwają zastosowane kontrasty: świetlny, czyli zestawienie wyraźnie nadchodzącej nocy ze światłem kończącego się dnia widocznego na nagrobkach; kontrast przestrzenny – w nim przeciwstawienie przestrzeni zorientowanych poziomo i pionowo, a w tym ujęcie panoramiczne obrazu, które dodatkowo podkreślone jest przez szereg linii horyzontalnych oraz kontrast złożoności przestrzeni cmentarza i prostoty nieba. Nie sposób pominąć tutaj zestawienia kolorystycznego, które szczególnie wyróżnia ten obraz: szarość nieba w „zderzeniu” z nasyconą czerwienią szaty otulającej siedzącą postać. Adam Chmielowski był na tyle konsekwentny w swoim dziele, że nawet tematyka jest tutaj kontrastowa: żywa postać emanująca siłą, dynamizmem, ciepłem, ekspresją osadzona w sąsiedztwie cmentarnych „martwych”, sztywnych nagrobnych rzeźb.

Kontrast... Czym jest kontrast? Jest przeciwstawieństwem, uwydatnioną różnicą, która podkreśla i akcentuje wybrane ogólnie rozumiane elementy zjawisk, barw, osób, przedmiotów, kształtów, faktur, itp. Kontrast w „Szarej godzinie” to dla mnie zestawienie śmierci i życia, pojęcia godziny jako miary czasu i wieczności po ludzku niemierzalnej, a dalej, jak mi podpowiada serce, uwydatnienie różnicy między człowiekiem i jego Odkupi-

cielem Jezusem Chrystusem. Jest dla mnie najważniejszą refleksją o tym, że dopiero w Chrystusie rozpoznaję siebie jako prawdziwego człowieka, kobietę i artystkę zaplanowaną przez samego Boga Ojca. Widzę siebie jako małe nic w Tym, Który jest wszystkim. Dopiero w Chrystusie – wybawiającym mnie własną krwią – w której paradoksalnie i kontrastowo „wybieliłam swoje szaty” – dostrzegam kim jestem, a tym samym do czego jestem powołana. Jezus Chrystus odpowiedział śmiercią z miłości na mój indywidualny dramat i grzech. Dlatego jako pierwsze fundamentalne powołanie odczytuję dążenie do zjednoczenia się z Nim, czyli dbałości o bycie poza nawet cieniem grzechu, bo celem nadrzędnym jest wspólnota miłości. Świadomość codziennego zanurzania się w Żywym Chrystusie – co uzmysławia mi jak najczęstsze przeżywanie Eucharystii – daje mi tę wielką łaskę autentycznego przyjmowania mnie przez Niego. Każda sekunda, minuta, godzina w obecności Jezusa, każde nabieranie oddechu w Jego najświętszej obecności jest dla mnie ważniejsza niż całe lata spędzane „modnie i dobrze” w czysto ludzkim pojęciu. Co stałoby się ze mną, gdyby nie godzina spędzona w Eucharystii z Nim, z Jego słowem, Ciałem, Krwią?... „Ile minut w godzinie, a godzin w wieczności, tylekroć bądź pochwalon, Jezu ma miłości”...



Być człowiekiem. Kontemplacja obrazu „Ecce Homo”

Ks. Bronisław Żolnierczyk

1. Kościół Ecce Homo

Przy bardzo ruchliwej trasie przelotowej, wiodącej w kierunku Nowej Huty, Warszawy i Wrocławia, na Prądniku Czerwonym w Krakowie za wysokim ceglany murem rozciąga się oaza ciszy, refleksji i spokoju. Jej sercem jest niewielki, ukryty wśród wysokich drzew parkowych kościółek św. Brata Alberta, od niedawna (1997): *Sanktuarium Ecce Homo św. Brata Alberta*. Nazwa świątyni pochodzi od obrazu Chrystusa „Ecce Homo”, namalowanego przez świętego artystę. Stanowi on „malarski zapis wewnętrznej przemiany malarza Adama Chmielowskiego Brata Alberta, Ojca krakowskich nędzarzy”. Chrystus Mąż Boleści z tego obrazu, po ubiczowaniu, cierniem ukoronowaniu, z trzcina w rękę jak w scenie u Piłata (por. J 13,3), wychodzi do nas i zaprasza do rozmowy o sobie i o człowieczeństwie

„Ecce Homo”. To nie jest zwykły obraz, bo też nie malował go zwykły artysta. (...) Ten obraz nie został namalowany po to, żeby cieszyć oczy. Można powiedzieć nawet mocniej – nie został namalowany po to, żeby zdobić kościół. Kiedy Brat Albert podarował go arcybiskupowi Szeptyckiemu, do Lwowa, arcybiskup nie umieścił go w kaplicy, ale dał do muzeum archidiecezjalnego; a najpierw trzymał u siebie w mieszkaniu¹. Metropolita A. Szeptycki pragnął, aby ludzie spotykając się z tym obrazem odpowiadali sobie na pytanie: Kim jest ten człowiek? Pragnął, aby kontemplując ten obraz umęczonego Syna Człowieczego nabierali sił do ratowania człowieczeństwa w sobie i pogłębiania swojej ludzkiej godności.

Kontemplując miłość Bożą ukazaną w obrazie, na którym opadający z ra-

¹ G. Ryś, *Ecce Homo*, eSPe Kraków 2007, s. 8.



mion szkarłatny płaszcz układa się tak, że tworzy na ubiczowanej piersi Zbawiciela duże serce – uczymy się człowieczeństwa, uczymy się odpowiadać na tę okazaną miłość świadczeniem miłości bliźniemu na wzór św. Brata ALBERTA.

2. Majestat człowieczeństwa

„Ecce Homo” to obraz, w którym św. Brat Albert zawarł swoje przesłanie o człowieczeństwie – o wielkości człowieka, każdego człowieka. W sposób artystyczny wyraził on przekonanie, że prawdziwym wzorem człowieczeństwa jest Jezus Chrystus – Syn Człowieczy w tajemnicy Jego męki i śmierci. I tę scenę uwiecznił artysta Adam Chmielowski, który ujrzał znieważone oblicze Boże w człowieku, w każdym człowieku, a także w człowieku – ostatnim nędzarzu. Powie pięknie kard. Wojtyła: Brat Albert... „upadł na kolana przed majestatem człowieka i to właśnie tego człowieka najbiedniejszego, najbardziej upośledzonego i wzgardzonego, przed majestatem ostatniego nędzarza”²; najważniejszym jest bowiem człowiek.

Dzisiaj wiele mówi się o człowieku i człowieczeństwie, pięknie rozwija się antropologia – nauka o człowieku. Święty Artysta, pragnąc ratować

człowieka i jego człowieczeństwo, wskazuje Chrystusa, do którego należy się zbliżyć, bo w Chrystusie znajdujemy obraz człowieka, a także pomoc w ratowaniu człowieczeństwa. Na tyle możemy iść drogą człowieczeństwa, mówi św. Brat Albert, na ile jesteśmy z Chrystusem. On daje moc do bycia człowiekiem. On jeden potrafi zmienić oblicze ludzkie. On jeden daje możliwości wyjścia z każdego zła, uzależnienia, małości, podłości i grzechu. W Jezusie mogę wszystko – „wszystko mogę w tym który mnie umacnia” (Flp 4,13): nie ma takiego grzechu i takiej podłości, z których nie byłoby wyjścia, nie ma tak wielkiego zła, którego by nie pokonało miłosierdzie Zbawiciela.

Autor książki *Możesz wyrwać się ze zła* – Francuz Andre Levet, poznał życie poza prawem, odbył kary ciężkiego więzienia, wielokrotnie z niego uciekał, by w końcu móc cieszyć się prawdziwą wolnością. Od przeszło czterdziestu lat, czyli od czasu wyjścia z więzienia, podróżuje po świecie, by dzielić się z innymi swoim odkryciem Boga – Chrystusa Syna Człowieczego. „Ze wściekłością w sercu – pisze – powracałem myślą do Biblii, którą podrzucono mi do celi ... zacząłem krzyczeć do nieba: jeśli naprawdę istnieje, jeśli czynisz wszystkie rzeczy opisane w tej książce, jeśli to wszystko prawda, przyjdź do mnie tej nocy o 2 nad ranem. Będzie spokój, nikt nam nie będzie przeszkadzał i będziemy



mogli podyskutować. Jeśli jesteś tak mocny, jak napisano, wyrwiesz kraty z mej celi, abym mógł uciec ... Tejże nocy z 11/12 czerwca 1969 roku zostałem potrząśnięty, obudzony. Wy-skoczyłem z łóżka szukając intruza, który mnie obudził, gotów byłem go pobić, lecz zobaczyłem, że jestem sam. Moja cela była pusta. Usłyszałem wówczas donośny głos, który rozbrzmiewał w mojej głowie mówiąc: jest druga, Andrzej, mamy spotkanie. Nie dowierając wciąż podszedłem do drzwi, aby zapukać i zawołać strażnika. Chciałem zapytać, dlaczego mnie obudził. Strażnik przyszedł i odpowiedział, że on nie zrobił tego, że miałem prawdopodobnie zły sen. Zapytałem go o godzinę. Jest druga – odpowiedział. Zapytałem: druga godzina? – tak, druga co do minuty. Pozostawił mnie samego, odwróciłem się w kierunku celi i znowu ten głos zabrzmiał w moich uszach i powiedział mi: – Andrzej, nie bądź nieufny. Jestem twoim Bogiem, Bogiem wszystkich ludzi ... Podniosłem pięść i krzyknąłem: – ale kim Ty jesteś? Dlaczego przychodzisz mi przeszkadzać? Nie widzę Cię. Nigdy Cię nie widziałem. Zostaw mnie w spokoju. Nagle od strony krat pojawiło się intensywne światło. Cudowne światło i można by powiedzieć, że nie było w tym momencie ani krat ani sufitu, ani ścian. W tym świetle zobaczyłem człowieka, którego nie znałem. Pokazał mi swe przebite ręce, swoje



stopy przedziurawione, swój przebity bok. Usłyszałem te słowa, które nie były już głosem wewnętrznym, ale rozlegał się wszędzie – to również dla ciebie Andrzej! I właśnie w tej chwili opadły łuski z mych oczu, łuski obciążone przeszło trzydziestoma latami grzechu. Po raz pierwszy w życiu zacząłem się zastanawiać, upadłem na kolana i zapłakałem. Przez 5 godzin czyli aż do rana klęczałem w celi analizując życie”³. Przejrzałem... zmar-twychwstałem – można dopowiedzieć

A. Levet mówi do nas, a szczególnie do wszystkich sceptyków, że można zawsze iść drogą człowieczeństwa, jeśli się zaufa Jezusowi – Synowi Człowieczemu. Nie ma takiego grzechu

² Homilia 23.11.1966, w: *Świadection oddania bez reszty. Karol Wojtyła o św. Bracie Albercie Chmielowskim*, Kraków 1990, s. 42.

³ A. Levet, *Możesz wyrwać się ze zła*, „W drodze” 1997, s. 19-21.



i nie ma takiego zagubienia, z którego by nie wyprowadził nas Zbawiciel. Należy tylko podjąć trud starania się, by dzisiaj być człowiekiem o ludzkim obliczu. Należy także wszystko czynić, aby zbliżyć się do Chrystusa, wprowadzić Go w swoje życie, a On pomoże nam iść drogą radosnego i zachwycającego człowieczeństwa. Człowieczeństwo uformowane na wzór Jezusa Chrystusa jest zawsze aktualne, potrzebne i konieczne. Blisko 50 lat temu, wówczas jeszcze niewierzący prof. L. Kołakowski, pisał: „Wszelka próba unieważnienia Jezusa, usunięcia Go z naszej kultury – jest śmieszna i jałowa. Próba taka jest tylko dziełem ludzi ciemnych, którzy wyobrażają sobie, iż sam prostacko zapisany ateizm może wystarczyć jako pogląd na świat. Osoba i nauki Jezusa Chrystusa nie mogą zostać usunięte z naszej kultury, ani unieważnione, jeśli kultura ta ma istnieć i tworzyć się nadal. POSTAĆ JEZUSA CZŁOWIEKA JEST WZOREM NAJŚWIETNIEJSZYCH WARTOŚCI LUDZKICH”⁴.

Zapewne św. Brat Albert znał wypowiedź Doktora Miodopłynnego św. Bernarda: „Kiedy mówię Jezus, w wyobraźni mojej staje człowiek cichy, życzliwy, pokorny, czysty, wstrzemięźliwy, miłosierny, najświętniejszy w cnotach i pierwszy w świętości, a jednocześnie Bóg Wszechmogący,

którego przykład może mnie uzdrowić i pomaga mi w umocnieniu ducha. Od człowieka biorę przykład, od Wszechmogącego czerpię pomoc.

Chrystus chciał umrzeć, abyśmy żyli; chciał służyć, abyśmy królowali; chciał być wygnańcem, abyśmy wrócili do ojczyzny; chciał się poniżyć aż do śmierci, ażeby nas wynieść nad wszystkie dzieła rąk swoich... Człowiecze – mówi Jezus – Ja ci dam swoje poczęcie, swoje życie i różne jego okresy: dzieciństwo, młodość, dam ci wszystko – i dodam jeszcze swoją śmierć, swoje zmartwychwstanie, swoje wniebowstąpienie i zesłanie Ducha Świętego... A to iżby moje poczęcie oczyściło twoje poczęcie, iżby życie moje podniosło twoje życie, iżby śmierć moja zniszczyła śmierć twoją, iżby zmartwychwstanie moje stało się Zapowiedzią twego zmartwychwstania, iżby wniebowstąpienie moje przygotowało ci wejście do nieba, iżby w końcu Duch Święty przyszedł z pomocą słabości twojej” (św. Bernard, *Dzieła* (1153 r.).

Święty Brat Albert, znając sławne wypowiedzi św. Bernarda z Clairvaux, przekazał nam tę samą treść obrazem „Ecce Homo”. Należy tylko modliwie wpatrzeć się w Oblicze Chrystusa i *nie bać się dzisiaj w oparciu o Chrystusa Syna Człowieczego „być człowiekiem”*. „Jeśli wpatrujemy się w jasność Pańską, my też coraz bardziej *jaśniejemy*. (...) Gdy człowiek

⁴ L. Kołakowski, *Jezus Chrystus – Prorok – Reformator*, „Argumenty” 19-26.12.1965.



kontempluje *Twarz Boga*, to jego *twarz* się zmienia. Kiedy kontempluje *Serce Boga*, to sam *staje się sercem*. Upodabniamy się do Jego obrazu. (...) Przemiana dokonuje się w człowieku dlatego, że jest on blisko Boga”⁵ – swojego Niebieskiego Ojca.

3. Wola Boża drogą człowieczeństwa

„Ecce Homo – oto Człowiek”. Nad tymi słowami namiestnika Piłata medytowano przez całe wieki. Nad tymi słowami pochylali się wielcy nasi poprzednicy we wierze – Ojcowie Kościoła, starożytni pisarze czy liczni święci. Wszyscy oni, różnie je komentując, zastanawiali się, co Piłat miał na myśli wypowiadając je i co chciał przez tę wypowiedź osiągnąć. Nad tymi słowami Ewangelii pochylił się także święty Biedaczyna z Krakowa. Jego komentarz to obraz „Ecce Homo”. Według Brata Alberta Piłat okazuje zebranym Chrystusa umęczonego i wyszydzonego jako wzór człowieka, bo święty ujrzał w nim znieważone Oblicze Boże, ujrzał Go w każdym człowieku, a także w człowieku – ostatnim nędzarzu. Brat Albert był przekonany, że „w człowieku wykojejonym trzeba ratować godność ludzką”, bo „wielką rzeczą jest człowiek”. Dzieło odnawiania obrazu Bożego i podobieństwa w nędzarzach

materialnych i duchowych zaczynał od zaspokajania podstawowych potrzeb ludzkich. Ale na tym nie poprzestawał. Pamiętał, że ubodzy mają duszę. Są dziećmi Bożymi, nie gorszymi niż on sam i wielcy tego świata. Poprzez miłosierdzie względem ciała docierał do dusz ludzkich. Odzyskiwał je dla Chrystusa. Ratował. Święty Brat Albert mówi ustami kard. Karola Wojtyły: „Trzeba, ażeby nasze człowieczeństwo (...) wróciło w nowy sposób uwrażliwione na człowieka, na jego potrzeby, na jego niedolę, na jego cierpienia...”⁶. Adam Chmielowski mówi poprzez swoją ikonę, że godność ludzką zachowa każdy człowiek, jeśli podejmie trud bycia człowiekiem i wierności woli Bożej, która jest naszym uświęceniem, aż do bólu – aż do umęczenia i ubiczowania. Ta wierność woli Bożej, ideałom ewangelicznym wymaga niejednemu raz prawdziwego męczeństwa, upokorzenia, wyszydzania, cierniem ukoronowania, ale to jest jedyna i prawdziwa droga człowieczeństwa.

4. Takim jest człowiek, jakim jest jego serce

Obraz Serca Bożego – to najbardziej „ludzki” obraz Boga. To najbardziej ludzkie przedstawienie Boga. Gdy mówimy „Serce Jezusowe”, „Serce Boże”, to jednocześnie mówimy:

⁵ Ryś, *Ecce Homo*, dz. cyt. s. 21.

⁶ Homilia 23.11.1966, w: *Świadectwo...*, dz. cyt. s. 46.



„serce ludzkie”. Bóg i człowiek spotykają się w sercu. Serce jest wspólne człowiekowi i Bogu. Można iść tym tropem dalej i powiedzieć – przypominając teksty papieża św. Jana Pawła II z jego pielgrzymki do Polski – że człowieka nie można zrozumieć bez Chrystusa. Człowiek samego siebie nie rozumie bez Chrystusa, bo wszystkim w człowieku jest Chrystus. Jest On w człowieku taką pełnią, takim źródłem jego tożsamości, że wszystko w Nim znajduje fundament⁷. Święty Artysta w swoim obrazie mówi o konieczności kształtowania serca ludzkiego na wzór Serca Jezusowego, gdyż serce – uosobienie miłości – decyduje o człowieku, jego wielkości i godności. Takim jest człowiek jakim jest jego serce.

„Święty Brat Albert nie pisał uczonych traktatów na ten temat. On po prostu pokazał, jak trzeba miłosierdzie czynić. Pokazał, że kto chce naprawdę czynić miłosierdzie, musi sam stać się ‘bezinteresownym darem’ dla drugiego człowieka (por. *Gaudium et spes*, 24). Służyć bliźniemu, to według niego przede wszystkim dawać siebie – „być dobrym, jak chleb”⁸. Brat Albert pokazał to w najpiękniejszym swoim obrazie „Ecce Homo”, a także

całym swoim życiem i działaniem, że Chrystus, wzór człowieczeństwa, jest dla wszystkich wezwaniem do pójścia Jego drogą, drogą dobroci, miłości, drogą Bosko-ludzkiego Serca, która jest zarazem wskazaniem, jak należy ratować człowieka. Jeśli pragnie się naprawdę pomagać człowiekowi, to musimy się stać bezinteresownym darem dla drugiego człowieka. Służyć bliźniemu to według niego przede wszystkim dawać siebie, „być dobrym jak chleb”: „Trzeba, ażeby nasze człowieczeństwo (...) wróciło w nowy sposób uwrażliwione na człowieka, na jego potrzeby, na jego niedolę, na jego cierpienia i gotowe świadczyć; świadczyć, sobą świadczyć, sercem świadczyć, gołymi rękami świadczyć (...) – taki dar więcej znaczy, aniżeli ręce pełne, aniżeli środki bogate”⁹.

Ojciec Święty Jan Paweł II po kanonizacji św. Brata Alberta powiedział: „Życzę, aby ten Święty, który dla wszystkich był ‘dobry jak chleb’, dopomógł wszystkim Polakom do odzyskania wzajemnej dobroci. Aby stał się żywym kamieniem w budowaniu tej cywilizacji, którą Paweł VI nazwał ‘cywilizacją miłości (serca) na naszej ojczyźnej ziemi i wszędzie’”.

⁷ Myśli zaczerpnięto z książki: G. Ryś, *Ecce Homo*, dz. cyt. s. 57 nn.

⁸ Słowa z Listu Ojca Świętego Jana Pawła II Do sióstr i braci Rodzin Zakonnych Świętego Brata Alberta z okazji jubileuszu 150 rocznicy urodzin św. Brata Alberta (6 stycznia 1995).

⁹ Homilia 23.11.1966, w: *Świadectwo...*, dz. cyt. s. 46.



W numerze 72 „Frondy” zamieszczono wywiad Adriana Sinkowskiego z bp. Grzegorzem Rysiem. Temat relacji sztuka-Kościół/katolicyzm w obecnym kontekście kulturowym wydaje się dziś bardzo gorący, a Brat Albert sam gorąco podobne dysputy podejmował. Przywołanie zaraz na początku wywiadu jego obrazu „Ecce Homo” ośmieliło mnie do poproszenia o pozwolenie na przedruk tekstu, który dotyka wcale nietłatnych a ważnych kwestii. Redakcji „Frondy” bardzo dziękujemy!

Nie pamiętam, żebym prześladował jakiegoś artystę

bp Grzegorz Ryś

Brat Albert napisał, że i dobrze ułożone kwiaty są sztuką, i dobrze skrojona suknia, jeśli tylko widać w tym wnętrzu człowieka, który to wykonuje. Norwid mówił, że gdy brukarz kładzie bruk w taki sposób, że nie widać w tym jego osoby, to go trzeba zwolnić.

Adrian Sinkowski: Jezus Chrystus to dobry temat na serial, powieść, operę?

Bp Grzegorz Ryś: Z całą pewnością tak, tylko że nie jest to wyłącznie kwestia warsztatu. W tym zakresie bardzo inspirujące jest dzieło brata Alberta *Ecce Homo*. Obraz powstawał wiele lat, był rejestracją tego, co brat Albert odkrywał z Chrystusa w całym świecie swojej modlitwy. I nie tylko

modlitwy, ale też działań, którym ta modlitwa dała życie. Jedną z interpretacji jest taka, że *Ecce Homo* to przedstawienie Serca Jezusowego, dlatego ten obraz doskonale odbija charyzmat albertyński. I jest nie do skopiowania. Widziałem wiele prób malowania *Ecce Homo*, lecz ani jednej udanej. Kiedyś nawet sam miałem pomysł, żeby spróbować, ale... (śmiech). To się mija z celem. Jedyne, co można zrobić, to



dobrze zdjęcie. Ale i ze zdjęciem nie będzie tak prosto, bo niełatwo jest oddać właściwą kolorystykę.

Natomiast pytanie o dobry temat jest nade wszystko pytaniem o sens takiego dzieła. Sens jest w tym przypadku oczywisty: przekaz wiary! Tyle że jakość tego obrazu – siła przekazu – nie bierze się stąd, że brat Albert był utalentowanym i wykształconym malarzem. Choć był nim na pewno: miał warsztat, był człowiekiem bardzo kompetentnym w zakresie malowania. Ale – powtórzę – jakość tego obrazu bierze się skądś jeszcze.

Kultura jest obszarem dialogu. (...) Dialog jest wtedy, gdy mamy ochotę nawzajem się słuchać.

Co w sytuacji, gdy dzieło sztuki odnosi się do Ewangelii lub życia Kościoła, lecz artystycznie jest słabe?

Nie każdy rodzaj sztuki każdemu odpowiada. Może być, na przykład, sztuka, którą ktoś oceni jako naiwną. Są ludzie, którzy w sztuce ludowej nie widzą nic wielkiego. Przy całej zgodzie na to, że sztuka ludowa może być i naiwna, i uproszczona, bałbym się redukować ją do takich ocen, gdyż bardzo często odbija ona jednak świat duchowy, świat wartości swoich twórców.

Podobnie, nikt nie każe komuś być przekonanym do piękna romańskiego kościoła. Dla kogoś będzie to arcydzieło architektury, która jest architek-

turą symbolu. I doda, że woli obraz romański niż narracyjną sztukę gotyku, gdzie wszystko pokazane jest wprost, kawa na ławę i być może gubi się w ten sposób wymiar misterium, przenikania do pewnej tajemnicy. Ale ktoś inny powie, że dla niego budowla romańska to tylko układ figur geometrycznych.

Brat Albert napisał, że i dobrze ułożone kwiaty są sztuką, i dobrze skrojona suknia, jeśli tylko widać w tym wnętrzu człowieka, który to wykonuje. Norwid mówił, że gdy brukarz kładzie bruk w taki sposób, że nie widać w tym jego osoby, to go trzeba zwolnić. Dla prawdziwej sztuki nie jest istotne, czy się kładzie kostkę brukową, czy maluje *Ecce Homo*.

Ale jeśli coś jest robione tylko dlatego, że się dobrze sprzedaje... może to wówczas nawet nie jest kicz, ale tandeta.

Plastikowa figurka Maryi z odkręcaną głową.

Widziałem u wielu osób butelki w kształcie Matki Bożej, w których ktoś przywiózł sobie wodę z Lourdes. I bałbym się w jakikolwiek sposób oceniać wiarę tych ludzi tylko dlatego, że zakupili takie, a nie inne naczynie. Mogę natomiast mieć swoje zdanie na temat produkcji takich butelek, bo jeśli ktoś chce sprzedawać wodę z Lourdes, może równie dobrze czynić to inaczej.

Ogląda biskup Ojca Mateusza?

Przykro mi, nie mam telewizora.



Wiem ze słyszenia, że mieszkańcy Sandomierza, w którym serial powstaje, widząc Artura Żmijewskiego, kłaniają mu się i dodają: *Szczęść Boże. Tu otwiera się temat dosłowności sztuki. Może katolicy dlatego tak bardzo obrażają się o to, że ich wartości są szargane, gdyż nie potrafią przyjąć, że sztuka to rodzaj metafory.*

Niech artysta wykona dzieło tak, aby nikt nie miał wątpliwości, że chodzi w nim o metaforę. Ile razy zdarza się, że osoba publiczna coś mówi, a potem dodaje do tego komentarz, bo reakcja społeczna jest negatywna! Ile razy ludzie, z papieżem włącznie, potrafią klarować swoją wypowiedź, aby przekaz był jasny. Takie objaśnianie nie musi oznaczać, że papież podejrzewa, iż stał się ofiarą agresji społecznej, która chce na nim wymusić „poprawność myślenia”.

Kultura jest obszarem dialogu. Jeśli staje się obszarem wojny, to mało, powiem szczerze, jestem do niej przekonany – bo nie mam ochoty się z nikim bić. Natomiast bardzo chętnie będę chciał go zrozumieć.

Dialog jest wtedy, gdy mamy ochotę nawzajem się słuchać, a nie mówić: *Z tobą nie mogę rozmawiać, bo jesteś wobec mnie opresyjny*. Mogę próbować zrozumieć postawę drugiej strony. Chciałbym, żeby ona próbowała zrozumieć mnie. Nie musi to od razu oznaczać, że dojdziemy do wspólnej

prawdy. Dialog ma wartość przez to, że tworzy rodzaj uczciwej relacji, nawet jeśli każdy zostaje przy swoim. I nawet jeśli w wyniku tego dialogu jeszcze bardziej zostaje przy swoim. Nic w tym złego! Myślę, że człowiek wchodzi w dialog wtedy, gdy ma ugruntowane poczucie własnej tożsamości. Nie boi się, rozmawia i w efekcie jest jeszcze bardziej utwierdzony w swoim świecie wartości. Pod warunkiem że jest to rzeczywiście dialog, a nie dwa monologi; to znaczy – naprawdę interesuje mnie, co mówi druga strona.

Żyjemy w Europie, która mniej więcej od XVI wieku stopniowo rozchodzi się z takim chrześcijaństwem, które było wszechobecne, wyznaczające sposoby zachowania, kształtujące wrażliwość.

Dialog ma wartość przez to, że tworzy rodzaj uczciwej relacji, nawet jeśli każdy zostaje przy swoim. (...) Człowiek wchodzi w dialog wtedy, gdy ma ugruntowane poczucie własnej tożsamości.

Dzisiaj nie ma takiej tożsamości z chrześcijaństwem, jest świadomość odrębności i potrzeby rozmowy – nie bez powodu mówimy o dialogu z kulturą.

U ludzi kultury widać chęć dialogu z Kościołem?

Nie spotkałem się z odmową, gdy chciałem z artystą porozmawiać. Ale nie mam ochoty recenzować tej umow-



nej drugiej strony. Istnieje wezwanie papieża Franciszka, absolutnie fundamentalne, skierowane nie do świata, lecz do Kościoła, do mnie, żebym wyszedł na zewnątrz na spotkanie. Na spotkanie! – bo można też wyjść po to, aby się oplakatować i protestować przeciwko wszystkiemu, co się dokoła dzieje.

Artyści twierdzą, że katolicy czują się źle w galerii sztuki, ponieważ mają zbyt małe kompetencje, żeby to dzieło przyswoić.

Nie mówi się, że coś jest głupie, ale to jest... po prostu głupie. Nie rozumiem, dlaczego moja wiara chrześcijańska,

Wiara, dopóki się nie wypowie przez kulturę, jeszcze nie jest dojrzała (Jan Paweł II).

katolicka, miałyby mnie czynić człowiekiem niepełnosprawnym w jakimkolwiek wymiarze, a już zwłaszcza poznawczym. To jest skrajna bzdura! Znam wielu artystów, którzy są ludźmi głęboko religijnymi, choć niekoniecznie ze swoją wiarą zaraz się obnoszą, afiszują. Pełnili funkcje rektorów ASP czy różnych wydziałów artystycznych, byli ich dziekanami, profesorami, wielkimi wykładowcami, i mają masę uczniów, którzy akurat od nich, a nie od kogoś innego, uczą się malarstwa czy rzeźby, czy architektury... Nie wyzywam nikogo od głupków i chciałbym, żeby i mnie szanowano. Żeby nikt mi nie mówił, że jeśli nie

rozumiem jego ekspresji artystycznej, to znaczy, że jestem niekompetentny i głupi. Kiedy głoszę kazanie i widzę słaby odbiór, to zastanawiam się, jak swój przekaz poprawić, bo chciałbym być lepiej rozumiany.

Słyszał biskup o Mszy w warszawskim Teatrze Dramatycznym?

Sztuki nie widziałem, ale z tego, co o niej słyszałem, wydaje się, że jest w tym kilka pokładów. To mogą być pokłady bardzo ważne nie tylko dla artystów. Może być pytanie o nadużycie tego, co jest sercem chrześcijaństwa. Liturgia ma być skoncentrowana na wydarzeniu paschalnym i nie powinna być redukowana do wymiaru jakkolwiek rozumianej polityki. Przy czym my jesteśmy społeczeństwem religijnym i kiedy chcemy wypowiedzieć przeżycia możliwie głębokie, wypowiedzieć siebie także jako pewną wspólnotę, to sięgamy najpierw po retorykę religijną; i pierwszy obrzęd, po który sięgamy, jest obrzędem religijnym. Choć może byłbym szczęśliwy, gdybyśmy jako społeczeństwo znajdowali także inne formy wyrazu – takie, które nie pociągają za sobą oskarżenia o manipulację tym, co dla mnie jako katolika jest najświętsze.

Nie widziałem tej sztuki, ale w pierwszym odbiorze jestem dość wolny od zgorszenia. Może ktoś chce coś ważnego podpowiedzieć.

Naturalnie są takie rzeczy, które są piętnowane także przez prawo. Wydaje mi się, że bardzo słusznie. Myślę, że by-



wa niekiedy swego rodzaju prowokacja wobec chrześcijaństwa, które w samym sercu swych przekonań ma wpisana miłość bezwarunkową, miłość do nieprzyjaciół, wybaczenie nawet i siedemdziesiąt siedem razy dziennie – więc jest to prowokacja stosunkowo łatwa. Nie ma nic złego w tym, że bywa karalna, gdy się poniewiera czyjeś wartości; są granice prowokacji. Każdej, artystycznej także.

Czy katolik, wchodząc do galerii sztuki współczesnej, ma prawo czuć dyskomfort?

Pytanie o dyskomfort otwiera kilka kwestii. Po pierwsze, na ile my, katolicy, współtworzymy kulturę? To jest ogromnie ważne. Jan Paweł II zamyka to w prostym stwierdzeniu: wiara, dopóki się nie wypowie przez kulturę, jeszcze nie jest dojrzała. Nie jest to zatem pytanie do świata, lecz do nas jako ludzi wierzących. Jakie są wytwory naszej wiary w języku kultury?

Druga rzecz, też warta podkreślenia: taki dyskomfort chrześcijanie mieli i będą mieli zawsze. Kościół nie narodził się w środowisku chrześcijańskim, Kościół wszedł do Rzymu, który był radykalnie pogański, bałwochwalczy, prześmiewczy w stosunku do Kościoła. Są przedstawienia Chrystusa z oślą głową, które powstawały w drugim wieku.

Ten dyskomfort zasadniczo powinien ludzi wierzących prowadzić do uczenia się, po pierwsze, w jaki spo-

sób samemu się wypowiadać. A po drugie, jak korzystać z kultury, która nas otacza, bo ona nie jest jednorodna. Ewangelia mówi o tym, że Józef wziął Maryję i Jezusa i uciekł z nimi do Egiptu. To oznacza, że uciekał z Ziemi Świętej, gdzie wszystko było uświęcone, Boże. Gdzie kultura – w szerszym znaczeniu, obejmująca także politykę i wszystkie instytucje społeczne – była religijna i tworzona w świetle prawa Bożego. I to właśnie było środowisko, które mogło i chciało Jezusa zabić. A Jezus schronił się w Egipcie, który w całej historii biblijnej jest symbolem bałwochwalstwa, tego, co Bogu wrogie. I to tutaj Bóg do Józefa mówi: *Pozostań tam, aż ci powiem*. To znaczy, że nawet ten pogański świat był

Na ile my, katolicy, współtworzymy kulturę? (...) Jakie są wytwory naszej wiary w języku kultury?

miejszem, w którym Józef był w stanie słuchać Boga.

Pytanie o dyskomfort odbiorcy zachacza też o dawną debatę – czy sztuka jest dla kogoś, czy jest sztuką dla sztuki, czy też wszystko redukuje się do tego, że artysta wypowiada siebie. Artysta ma prawo wypowiedzieć siebie – niezależnie od tego, czy jest to rodzaj duchowej agresji wobec drugiego, czy też nie!

Zapytam inaczej: czy widząc dzieło, które depcze chrześcijań-



skie wartości, katolik ma prawo nie czuć dyskomfortu? Ma prawo nie protestować?

Czy musi być wzburzony i czy musi być zgorszony, i czy musi od razu wstąpić na drogę prawną? Niekoniecznie muszę zawsze dochodzić swojego prawa; mogę z niego zrezygnować – jeśli czynię to z przesłanek wynikających właśnie z Ewangelii.

Ale, żeby było jasne: jeśli mamy do czynienia z dziełem, które jest zgorszeniem publicznym, to wówczas jest czas na to, co Pan Jezus nazwał upomnieniem braterskim. Mam wtedy prawo iść do artysty i wypowiedzieć swoją opinię. Wyrazić nie tyle swoje uczucia – *ja czuję się obrażony* – ile swoje przekonanie, że to dzieło przynosi złe następstwa, złe owoce. Mam prawo do swojej oceny, mam prawo powiedzieć, że to jest złe, mam prawo o tym napisać. Mam więc też prawo przeciwdziałać, zwłaszcza jeśli wydaje mi się, że zło spowodowane przez to dzieło jest złem poważnym. Im poważniejsze zło, tym poważniejsza podstawa do reakcji.

Spotkał się biskup z opinią, że artyści odbierają Kościół jako przestrzeń opresji?

Nie pamiętam, żebym prześladował jakiegos artystę (śmiech). Może chodzi na przykład o to, że ktoś, będąc katolikiem, wyczuwa pewne granice tego, co może, a czego nie może jako

artysta; ale to jest w porządku. Granice wpisane w przykazania stają się przecież wewnątrznie akceptowaną normą sumienia. Natomiast żadnemu artyście nie zabraniam robić czegokolwiek, co nie przekracza tej podstawowej normy, o której mówiłem przed chwilą.

Gdy chodzi o moją wrażliwość estetyczną i etyczną, mogę się czuć absolutnie sponiewierany, gdy wchodzę na rynek w Krakowie, jedno z najpiękniejszych miejsc w Europie, i widzę czerwone okna w pięciu klubach gogo. I pytam: gdzie ta opresyjność?

Gdy katolik powie na głos, że coś się z jego wrażliwością etyczną w żaden sposób nie godzi, to jest to traktowane jako zamach na czyjaś wolność. Jeden system etyczny ma prawo się wypowiadać, a drugi nie ma prawa, bo jest to wtedy „działanie opresyjne”.

Słyszałem wypowiedź artysty, który stwierdzał, że sztuka, w której związek jest odgrywany przez mężczyznę i kobietę, powinna mieć taką samą recepcję, jak ta, w której związek odgrywa dwóch mężczyzn, gdyż chodzi po prostu o pokazanie uczucia.

To jest, powiedzmy wprost, stwierdzenie w tle, że relacje seksualne są tyle samo warte w każdym przypadku i każdy może uznać ich równą wartość etyczną. Tu jednak wykraczamy poza kwestię sztuki i wchodzimy na teren hierarchii wartości etycznych.



Proszę zobaczyć, po stronie Kościoła wielokrotnie pada deklaracja szacunku dla ludzi, którzy mają orientację homoseksualną. Nikt ich nie wyzywa od niechrześcijan, niekatolików. Ocena moralna dotyczy zachowań homoseksualnych, które Kościół uznaje za grzeszne. Nazywanie zachowań grzesznymi nie oznacza uznania kogoś za zbrodniarza. Każdy z nas popełnia grzechy; właśnie w Jezusie Chrystusie jest odpowiedź na ludzki grzech.

W momencie jednak, gdy wypowiadam swoją negatywną ocenę zachowań moralnych – nie potępiając konkretnego człowieka! – słyszę, że jestem głupi, nienowoczesny i tak dalej. Gdzie jest chęć zrozumienia, wejścia w świat mojej wrażliwości, moich wartości? Tak jak się tego – i słusznie! – wymaga ode mnie...

Bardzo mi odpowiada zapis, który jest w polskiej konstytucji, wprost genialny: że życie w Polsce zasadza się na poszanowaniu godności każdego człowieka (art. 30: *Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela...* – red.). To jest podstawowe prawo, wszystkie inne są następne, ufundowane na tym pierwszym. Dzięki temu nie mamy konfliktu takich wartości, jak wolność wyrazu i godność człowieka. Wolność wyrazu artystycznego nie może być sprzeczna z uszanowaniem godności człowieka.

To nie jest opresyjny nacisk katolicki, tylko konstytucyjny zapis Rzeczypospolitej Polskiej, który oddaje wielką prawdę o człowieku. Tyle bym chciał, i od siebie, i od innych: żebym, cokolwiek robię – czy to jest dzieło sztuki, czy kazanie, czy książka, którą piszę – w żaden sposób nie naruszał godności ani własnej, ani innych.

Czy sztuka współczesna może być zbawiona? W jaki sposób odbiorca może być zbawiony na polu sztuki?

Jedynym Zbawicielem człowieka – nie sztuki (!) – jest Bóg w Jezusie Chrystusie. Stając się człowiekiem,

Wolność wyrazu artystycznego nie może być sprzeczna z uszanowaniem godności człowieka.

uczynił narzędziem zbawienia także ludzkie słowo i inne formy wyrazu. Uczynił je nośnikiem Objawienia. W pewnym więc sensie nasze dzisiejsze spotkanie z Chrystusem jest zapośredniczone przez kulturę – potrzebuje słowa, obrazu, symbolu.

A sztuka nie potrzebuje czasem nawrócenia?

Nawrócenia potrzebuje człowiek – każdy. Sztuka tworzona przez człowieka, który się nawraca, zyskuje.



PKPiekło

/tekst humorystyczny/

br. Albert Koczej, albertyn

Jeśli miałbym namalować obraz zatytułowany „Kolej jako natchnienie dla pisarzy”, z pewnością dotyk mojej wyobraźni penetrowałby ziarnka pustynnego piasku. W świadomości z wyrazistością fatamorgany tli się tylko mała oaza utworu „O psie, który jeździł koleją”. Poza tym nic.

Gdy jednak spojrzymy na listy Świętego Brata Alberta to motyw kolei zajaśnieje nam jak przysłowiowe grzyby po przysłowiowym deszczu. Napotykamy tam szereg kaskadowych konstrukcji typu:

Lwowski pociąg przychodzi o pół do 7-mej wieczorem... Ja dziś wyjeżdżam do Stanisławowa, jutro albo we czwartek powrócę, w piątek do Tarnowa, jeżeli Bóg da¹.

Spodziewam się że w przyszły czwartek, najdalej w piątek powrócę do Krakowa.

W niedzielę byłem w Stanisławowie, powróciłem w poniedziałek, we wtorek pojechałem do Sokala, dziś jadę do Pruska, jutro do Lwowa, we wtorek do Przemyśla, w środę do Jarosławia i do Krakowa¹.

Te wypowiedzi niczym kołyszący się na torach wagon wybijają wartki rytm życia Założyciela albertyńskich zgromadzeń.

To dowód na to, że kolej piśmienictwu nie jest obca. Gdyby jednak cofnąć się nie o sto ale o siedemset lat. Wyobraźmy sobie, że Dantemu przyszło żyć w dzisiejszych czasach, natchnienie do pierwszej części swojej *Boskiej komedii* mógłby czerpać z przejażdżki polską koleją. Oczywiście dziś nie sposób stworzyć dzieła z renesansowym rozmachem, tym niemniej Alighieri mógłby dotknąć ciekawych aspektów piekła. Na wstępie mała poprawka, pieklopkp jest głupim lecz wolnym wyborem, co oznacza, że wszyscy wsiadający do pociągu tego chcą. Jest to zgodne z dzisiejszym teologicznym trendem podkreślania wolnej woli w ostatecznym wyborze (Balthasar, Boros, Hryniewicz). Teologiczne dopasowanie do naszej epoki rzutuje na całokształt wizji. Diabły już nie muszą zadawać ludziom urozmaiconych tortur, bo sami ludzie zadają sobie urzekające w swej prostocie kaźnie. Niepotrzebny wydaje się też

¹ Pisma Adama Chmielowskiego św. Brata Alberta, Kraków 2004, s. 129.

¹ Tamże, s. 185.



oksymoroniczny konstrukt jakim jest harmonijne, ułożone w kręgi piekło.

Wejście i poznanie PKP-owego piekła niesie kilka trudności. Dziś Wergiliusz jest za stary żeby kogoś gdzieś oprowadzać, co więcej w polskim pociągu nie sposób w ogóle oprowadzać. Dante wykonać musi lot nad kukłowym gniazdem. Zacząć mógłby od przedziału – smażyć się tam grzeszący przeciw szerokorozumianej miłości bliźniego. Smażą, bo oczywiście przewoźnik energii grzewczej nie szczędzi, a przy drzwiach i oknie siedzą ludzie, którzy się boją żeby ich nie zawiało. Wszelkiej maści krytykanci, obłudnicy, konformiści... muszą znosić siebie nawzajem. Sapanie, charczenie, kichanie, śmierzdenie, pocenie, drętwienie kończyn – znoszenie tego wszystkiego to kara dla tych, którzy nikogo nie znoszą.

Na korytarzu smród ma komponentę bardzo specyficzną, jest to brak szacunku do rzeczy wspólnych – smród dworców, przystanków, publicznych i szkolnych toalet. Fetorem publicznej własności zbrukanej prywatnymi wydzielinami przesiakają pokutujący tu szubrawcy. Za nic mieli dobro innych, mało mają swego, na przestrzeni kilkuset centymetrów sześciennych w ekwilibrystycznych pozycjach, ze ścierpiętymi kończynami i dobytkiem pod pachą nie wyglądają tak hardo.

W przedsionku przeciąg, spotęgowany toaletą smród, przestrzenie tak małe, że można by było je nazwać nieprzestrzeniami i oczekiwanie, że drzwi kiedyś się otworzą. To miejsce ludzi, którzy lokowali swoją nadzieję w samych sobie, bliżej nieokreślonym rozwoju, postępie czy samorealizacji.

Wreszcie w PKP-owej toalecie – czymś w rodzaju paszczy Lucyfera, Brutus, Kasjusz i Judasz z permanentną biegunką.

W każdym miejscu istnieje oczywiście cały szereg wysublimowanych kar, dostosowanych do ciężaru winy, takich jak telefony od znajomych, którzy mają lepiej i wygodniej, drzemka i pobudka ze ścierpiętą szyją, pielgrzymki kobiet do toalety, kontrola biletów...

Idąc za jedną z hipotez teologicznych można by Dantemu zasugerować apokatastazę² stacji docelowej, na której czekałaby Beatrycze. Czyściec i niebo by se mógł podarować.

² Apokatastaza (od gr *apokatastasis*, czyli „ponowne włączenie, odnowienie”) – końcowa i ostateczna odnowa całego stworzenia poprzez przywrócenie mu pierwotnej doskonałości i bezgrzeszności lub nawet przewyższenie tego pierwotnego stanu. Potocznie *apokatastazą* nazywana jest idea *pustego piekła*. Więcej w książkach: *Czy wolno mieć nadzieję, że wszyscy będą zbawieni* Hansa Urs von Balthasara; *Nadzieja zbawienia dla wszystkich: od eschatologii lęku do eschatologii nadziei* Wacława Hryniewicza.



Dla Króla Chwały

s. Michaela Faszcz

O Jezu!
Daj nam pić,
daj nam łaski,
daj miłość,
daj nam oglądać Ciebie,
o Królu Chwały,
Więźniu Miłości;
daj nam miłość,
kiedyś dał serce i życie.
O Wieczności,
któż cię pojmie.
O Boże, o Wszechmogący,
Niepojęty!¹

¹ *Bóg nade mną jak obłoki nad ziemią.*
Z Pism bł. Siostry Bernardyny Jabłońskiej,
Kraków 2000, s.76.

Życie bł. Bernardyny Jabłońskiej, w miarę postępowania w zażyłej więzi przyjaźni z Bogiem, coraz bardziej jest ukierunkowane ku wieczności. Cała jej osoba w pragnieniach i całościowym wymiarze egzystencji zmierza jak strzała do celu Bożych przeznaczeń.

W notatkach duchowych Błogosławionej znajdujemy głębię życia nadprzyrodzonego. Píše: „O Jezu! Daj nam pić, daj nam łaski, daj miłość i daj nam oglądać Ciebie”. Słowa modlitwy są wołaniem całą głębią duszy i istnienia o Ducha Świętego, który jak woda może zaspokoić pragnienie wierzące-



go i miłującego serca. Jest wołaniem o dar łaski, która uzdalnia do trwania w Źródle Życia. Za doświadczeniem trwania w Obecnym idzie pokorna prośba oblubienicy o miłość, która jako dar Serca Jezusowego jest wyłaniem Osobowej Miłości – Ducha Świętego.

Święty Jan od Krzyża w zwieńczeniu swoich dzieł mistycznych pisze o takim udzielaniu się Ducha:

„O żywy płomieniu miłości,
Jak czule rani siła żaru twego
Środka mej duszy najgłębsze
istności!

Bo nie masz w sobie już bólu
żadnego!

Skończ już! – jeśli to zgodne
z twym pragnieniem!

Zerwij zasłonę tym słodkim zderzeniem!”².

Święty mistyk Karmelu cały uczestniczy w dynamice wzrostu w oblubieńczej miłości, czuje się rozpalony płomieniem i całe wnętrze ma zanurzone w chwale i miłości, tak iż głębię jego istoty zalewają strumienie chwały. Ow „żywy płomień”, to osobowa obecność Ducha Świętego, który w duszy czystej, zjednoczonej z Bogiem – Trójcą, nie znajduje przeszkód, by miłować i rozlewać owoce swojej łaski, obecności i zamieszkania.

Gdy wchodzimy w przestrzeń ducha – omawianej modlitwy siostry Ber-

nardyny, zauważamy, jak nasza Błogosławiona doświadcza przedsmaku tego zjednoczenia, jak z wielką determinacją woła: „daj miłość”. Bóg jest Miłością, jest Światłem, które udzielając się odsłania siebie, uchyla zasłonę, daje smak poznania. Dlatego każde doświadczenie takiej obecności nie pozostawia oblubienicy szczerze poszukującej Pana w beczynności, jest wołaniem o więcej: „daj nam oglądać Ciebie, Królu Chwały”. To wołanie pełne pragnienia siostry Bernardyny jest analogiczne do mistycznego doświadczenia św. Jana od Krzyża, w którym woła: „Zerwij zasłonę tym słodkim zderzeniem!”.

Święty Karmelu w poetycki sposób wyraża, że determinacja pragnienia Boga sprawia wewnętrzną ranę:

„O rano pełna uczucia błęgiego!
O rękę miłą, o czule dotknięcie,
Co dajesz przedsmak życia wieczystego
I spłacasz hojnie wszystkie zaległości!
Przez śmierć wprowadzasz do życia
pełności!”³.

Nasza Błogosławiona rozumie tę „ranę”, która drogą miłości otwiera na wieczność. Wstępowanie zranionej miłości oblubienicy w tajemnicę boskiej obecności sprawia w niej poczucie całkowitej niewiedzy, a jednocześnie wiedzy doświadczenia, pozostawiającego smak nieogarnionych rozumieniem ludzkim i uczuciem serca przestrzeni Bóstwa i Wszechmocy.

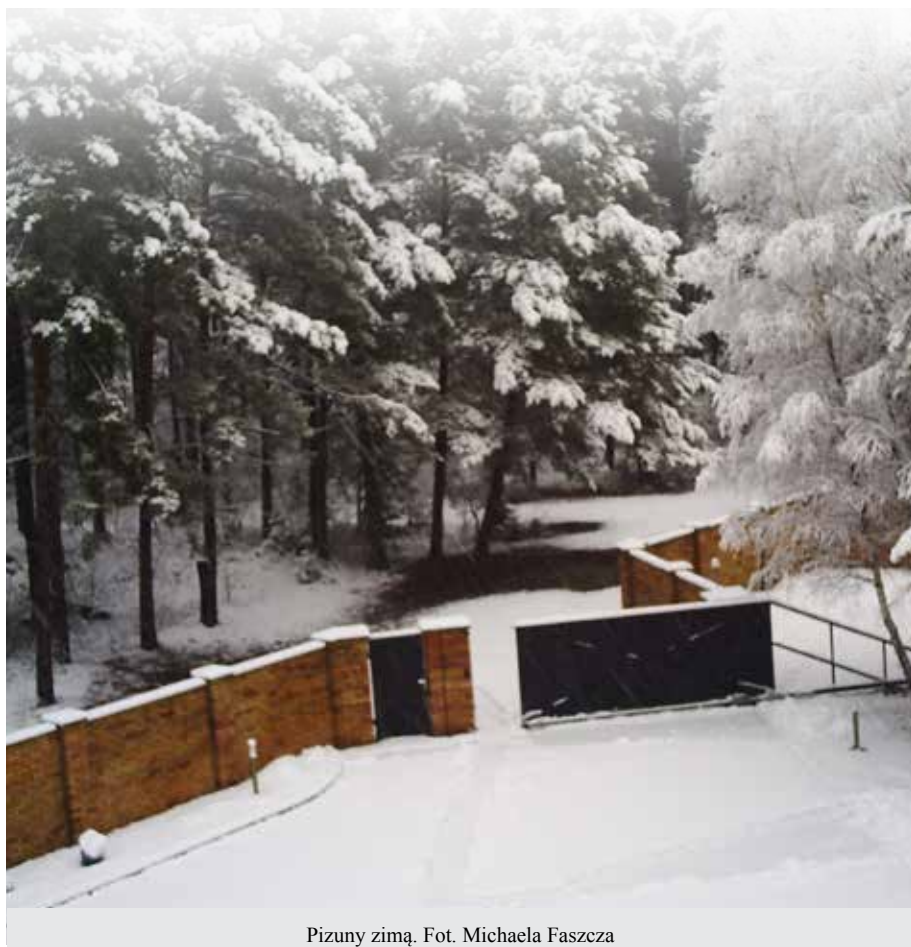
² Św. Jan od Krzyża, *Żywy płomień miłości*, strofa pierwsza.

³ *Tamże*, strofa druga.



Siostra Bernardyna jednak głębokim zmysłem wiary odnajduje miejsce, gdzie przebywa Król Chwały. Na ziemi jest On „Wieżniem Miłości”, do którego oblubienica przychodzi, którego adoruje i uwielbia. Rozumie także, że to miejsce rozciąga się na jej serce i całą przestrzeń kosmosu zanurzając w wieczność. Dlatego siostra Bernardyna woła: „daj pić” wodę

żywą – Twego Ducha, który czyniąc z jej ciała i serca swoją świątynię, przeniesie ją i zanurzy w niepojętej przestrzeni obecności miłującego Boga. Miłość Ducha Świętego działająca w Błogosławionej pozwala jej dostrzegać, oglądać oczyma wiary Króla Chwały, który idzie z nią i mieszka w niej jeszcze tutaj, na ziemi, i już w wieczności.



Pizuny zimą. Fot. Michaela Faszczka



Ostrożności św. Jana od Krzyża w życiu bł. Bernardyny (5)

s. Krzysztofa Babraj

Prestrogi przeciw szatanowi

2. Jakikolwiek by był twój przełożony, masz w nim Boga upatrywać, bo względem ciebie Jego miejsce zastępuje; inaczej jest posłuszeństwo ludzkie, bez zasługi nadprzyrodzonej, jeśli słuchasz przełożonego dla naturalnych przymiotów. Ma ci być obojętnym, kto jest twoim przełożonym.

Św. Jan od Krzyża zapewnia, że nie zachowując tego „wielka liczba zakonników została przez szatana doprowadzona do ruiny doskonałości”. I grozi, że jeżeli z całą wiernością tego nie spełnimy, to nie tylko duchowymi, czyli doskonałymi nie będziemy, ale i „ślubów naszych dobrze zachować nie możemy”.

Należy przypomnieć przełożonym wielki obowiązek usilnego starania się, „aby swoimi własnymi ułomnościami na próbę nie wystawiali cnoty osób od siebie zależnych”.

Siostra Bernardyna wpatrzona w życie Brata Alberta, który kładł wielki nacisk na ducha wiary w posłuszeństwie, na słuchanie Boga przez przełożonych, oraz na miłość, która wszystko zwycięża, starała się wiernie realizować w swoim życiu tę przestrożę.

Porwana żywym przykładem Brata Alberta, patrząc na jego bezgraniczne poświęcenie i płomienną miłość, widząc, że swoje życie dostosowuje do tego co mówi – śmiało idzie w jego ślady. Zdumiewa ją to, że Brat Albert mówi o swoich ubogich ze wzruszeniem, patrzy na nich ze czcią, że poleca jej nie tylko



usługiwać z pokorą i poświęceniem, nie tylko podać ciężko zapracowany kawałek chleba, ale kochać.

I tutaj wg o. Matlaka zrodziła się w niej miłość: miłość pełna czci i szacunku dla biednych, pełna wiary, że są to zbolełe członki Chrystusa. Do takiej miłości należy wychować siostry własnym przykładem.

Jak wspomniałam wyżej, s. Bernardyna umiała być posłuszną i tego posłuszeństwa wymagała od wszystkich sióstr, a zwłaszcza od przełożonych domowych, bo na nich spoczywa obowiązek bezpośredniego wniknięcia we wszystkie sprawy sióstr i ubogich.

Zanotowała 18 lutego 1906 r. postanowienie: „być wierną Panu Bogu od największej do najmniejszej rzeczy. Zawsze robić to, co się najdoskonalszym wydaje i w czym widzę największe upodobanie Boże”.

Wierność Bogu to wypełnienie przykazania miłości Boga i bliźniego. Żeby ułatwić siostrom posłuszeństwo, należy je kochać; i to taką miłością, jaką nas ukochał Chrystus: bezwarunkową.

Siostra Bernardyna była zatroskana o sprawy potrzebujących, interesantów i zapytywała zawsze, czy wszystko załatwiono, a zwłaszcza czy im podano jedzenie.

Wyczuwała, zgadywała potrzeby sióstr: czy mają wszystko, co im potrzeba, co do pożywienia, ubrania czy wypoczynku.

Niezmiernie wyczulona była na stosunek sióstr do ubogich i chorych, dzieci i bezdomnych. Kazała dawać każdemu, kto prosił i na co było siostry stać – żywność, odzież, opał, leki. Na prośbę ks. proboszcza Móla, który należał do Towarzystwa Pomocy dla Bezdomnych im. Brata Alberta, Matka wyznaczyła dwie siostry, by na terenie parafii poszukiwały chorych, biednych, żyjących w małżeństwie bez sakramentu. Chorym kazała gotować rosół z kury i zanosić im także wino mszalne.

Parafia była zaniedbana, bo to były prawie jej początki. Małżeństwom żyjącym bez ślubu siostry dopomagały w przewyciężeniu trudności, by zawrzeć związek sakramentalny. Czasem nie było większych przeszkód, jak tylko brak pieniędzy na ślub czy też brak odpowiedniego ubrania. Ks. proboszcz dawał śluby za darmo, a z ubrań Matka polecała dać, co było potrzeba, i upiec placki na wesele.

Kiedyś w sieni domu w Mnikowie słyszy Siostra Starsza, jak staruszka z upośledzoną córką proszą o maślanek: „W moim pokoju stoi garnuszek mleka kwaśnego. Weźcie go i dajcie tym biedakom”. I siostry dały.

W jesieni 1928 r. w Mnikowie spotkała Siostra Starsza w polu bardzo biedną wdowę, matkę pięciorga dzieci, której właśnie umarł mąż. Miała płacić weksel zaciągnięty na pogrzeb męża i wyżywić dzieci, a tu nic nie ma. Wdowa



opowiedziała o tym rozpaczliwym stanie materialnym swej rodziny, ale dorzuciła słowa chrześcijanki: „Mimo to wszystko, ufam Panu Bogu i Jego Opatrzności, że nas nie opuści teraz, jak nas z dobroci swej stworzył i odkupił”. Słyszając to, Siostra Starsza była bardzo wzruszona niedolą tej matki -wdowy, ale najwięcej tym, iż mimo wszystko ufa Bogu. Pocieszyła ją, a potem zwróciła się do siostry wikarii Magdaleny, żeby się nią zaopiekowała. I odtąd siostra wikaria wspomagała tę rodzinę, ale i Matka Bernardyna o niej pamiętała – posyłała dla niej z Krakowa ubranka, bieliznę, obuwie. Wyręczała Opatrzność Boską, której ta wdowa tak zaufała.

Około 1917 r. Siostra Starsza dowiaduje się, że blisko Wisły pod gołym niebem, na deszczu, leży chory staruszek. Prędko wysyła siostrę Karolinę z drugą siostrą: „Idźcie złotki prędko, weźcie ze sobą koc, okryjcie chorego, dajcie mu gorącą herbatę z winem, a potem niech go bierze pogotowie ratunkowe”. I tak siostry uczyniły. Bez tej pomocy ten człowiek może by umarł.

„Boli mnie serce – mówiła do ks. Lewandowskiego – popatrzyłam oknem i ujrzałam, jak jakiś biedak wypijał zupę przy furcie. Może głodny przyszedł, zmęczony. Zjadłby coś posilniejszego, a tu tego nie dostał. Przecież można było dorzucić do tej zupy ziemniaków czy chleba i byłby się tym pokrzepił.

Siostry są dobre, ale im to do głowy nie przyjdzie. Potem żałują, że tego nie zrobiły, ale już po niewczasie”.

Gdy przychodziły Święta, cała okoliczna nędza była hojnie obdarowywana. Siostra Starsza wysyłała siostry do chorych, potrzebujących, opuszczonych. Polecała wspierać materialnie biedne rodziny, dzielić się tym co jest, nie zważając na to, że może zabraknąć na potrzeby sióstr. Opatrzność Boska nigdy jej nie zawiodła, wystarczało i dla ubogich, i dla Zgromadzenia.

S. Modesta wspomina: „Było to w roku 1926, jakaś kobieta przyniosła do furty trochę żytniej mąki pyłowej i prosiła, żeby jej coś z tego upiec na Święta. Matka kazała dodać do tego wszystkiego, co trzeba, ładnej mąki i z tego upiec... Kazała dać do tego jeszcze kielbasę i jajek – żeby biedni ludzie mieli dobre Święta”.

Oto tylko niektóre przykłady, ukazujące jej posłuszeństwo wobec Chrystusa, który powiedział: „Miłujcie się wzajemnie, jak Ja was umiowałem” (J 13, 34).

Tą postawą pełną matczynej miłości wychowywała młode siostry i przełożone, kładąc szczególny nacisk na cnotę posłuszeństwa i zdrową ascezę.

Słowa te sama wypraktykowała, a siłę do ich realizacji czerpała z modlitwy. Słabe zdrowie i liczne obowiązki nie przeszkadzały s. Bernardynie w modlitwie prywatnej. Nie zaniebując żadnych obowiązków znalazła



czas na codzienne odmówienie całego różańca. Czyniła to zwykle w godzinach nocnych, około 11 w nocy zjawiała się w kaplicy i tam klęcząc przed Tabernakulum, modliła się czasem do świtu. Chętnie pozwalała też siostronom mającym łżejsze zajęcia modlić się w nocy, choć niedługo.

Mówiła: „Każda siostra może odprawiać godzinę adoracji, jako Straż Honorową, wśród dnia przy zajęciu, według dowolnego doboru godzin i może odczytywać kartki z malutkim rozmyśleniem, ku uczczeniu Serca Pana Jezusa w Eucharystii. Na początek godziny i na zakończenie, jeżeli jest to możliwym, wpaść do kaplicy lub uklęknąć przy zajęciu na sekundę i oddać pokłon Jezusowi na wszystkich ołtarzach całego świata”. Zalecała siostronom, aby wybierały godzinę lub więcej i duchownie łączyły się wśród prac i zajęć z Panem Jezusem, o ile to jest możliwe. Aby Go kochały, prosiły o łaski, wynagradzały krzywdy, upraszały szczęśliwą śmierć czy też wzbudzały inne intencje ku uczczeniu Najświętszego Serca Pana Jezusa.

S. Bernardyna zachęcała siostry swoim przykładem do odwiedzania Pana Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie, chociaż po parę minut, „żeby wśród was Pan Jezus nie pozostawał samotny”.

„Siostry niech starają się obudzać akty strzeliste, ile tylko razy mogą.

Niech wołają do Pana Jezusa, do Jego Ran i zasług.

Wołajcie do Matki Najświętszej... Pamiętajcie, że niebo was nie minie, jeżeli prosić będziecie o opiekę Maryi, chociażby najkrótszą modlitwą.

Wzywajcie pomocy św. Józefa, Aniołów Stróżów, świętych patronów.

Siostry będą w szczególny sposób uwielbiały Tróję Przenajświętszą (...), kładąc na sobie znak krzyża św., wielbiąc Chrystusa Pana, wzgardzonego i wyciszonego”.

Matka miała też szczególne nabożeństwo do Ducha Świętego, do Najświętszej Rodziny i do Krwi Przenajświętszej.

S. Bernardyna bardzo kochała Zgromadzenie – spuściznę swego ukochanego *Tatusia* (jak nazywała Brata Alberta). W Zakopanem w 1920 r. mówiła do siostry Barbary Kopacz: „Jeszcze teraz nie chciałabym umierać, bo sprawy Zgromadzenia są nieuporządkowane, *Tatusia* nie ma, Ustawy nie ukończone, a będzie robił po swojemu obcy. Polecę sprawę Bogu, co ze mną zechce to niech robi. Wola Jego Boska niech się pełni. Jak my Mu będziemy wierne, dobre, to i Pan Jezus będzie dla nas hojny. A jeżeli my mamy być Bogu niewierne, to niech się rozsypie wszystko”. Pan Jezus pragnie mieć naczynie czyste, w którym chce mieszkać przez łaskę.

Chociaż s. Bernardyna była niezwykle dobra i sprawiedliwa, potrafiła też



Włodkowi. In Memoriam

Schronisko w Inowrocławiu

Grzegorz Roczek

być stanowcza i nieugięta. Do przełożonych apelowała, aby siostronom ułatwiały posłuszeństwo. Oto jej słowa: „Przełożona jest wszystkim: oskarżycielką, sędzią, obrończycielką, ale przede wszystkim matką. Nie wiele trzeba mówić, bo każdy dobrze wie co to jest matka, więc taką matką trzeba być i to jest obowiązkiem każdej przełożonej. Przełożona powinna być bardzo dobra, pełną miłości dla swych sióstr i wyrozumienia. Powinna się do ich myśli i pojęć zbliżyć, być dla nich matką, czy to złe, czy dobre, siostry powinny z całą szczerością iść do przełożonej, a ona powinna im załatwić wszystkie ich potrzeby. Upomnieć, pouczyć, dać pokutę, powiedzieć dobre słowo, pożałować, a nawet pochwalić i okazać zadowolenie siostrze, jako nagrodę za cnotę uzyskaną, lub pracę wykonaną zmęczeniem, bo Bóg tak robi przez sumienie; ulżyć podwładnym, okazać im, że chodzi przełożonej o ich postępek i dobro, że wszystkie osobiste interesy są wykluczone, a duszę podwładnej stawia się na pierwszym miejscu!”.

Najwspanialszym przykładem posłuszeństwa jest Jezus Chrystus w Eucharystii. Jest posłuszny wszystkim, absolutnie wszystkim kapłanom, dobrym i złym, godnym i niegodnym.

W niedzielę 27 lipca, na terenie Schroniska dla bezdomnych mężczyzn w Inowrocławiu, po długiej i ciężkiej chorobie, zmarł miejscowy artysta plastyk Włodzimierz Kutzner.

Uprawiał malarstwo, rzeźbę w drewnie, grał na gitarze klasycznej. Jego dzieła znajdują się w kolekcjach zarówno krajowych jak i zagranicznych.

Uchodził powszechnie za twórcę skromnego, niedbającego o rozgłos czy pieniądze. Znacznie częściej mówiono o nim.

Włodzimierz Kutzner o własnej twórczości:

Prezentowane prace obrazują zbiorową podświadomość własnych doznań i indywidualnej wrażliwości. Pragnienie rodzi się wraz z nami, rodzi się w czystości umysłu i serca. W zgodzie z pewnymi i niezmiennymi zasadami, które towarzyszą człowiekowi od wieków.

Współżycie z przyrodą, całym pięknem, które nas otacza, ludźmi i środowiskiem, w którym przyszło nam żyć.

W oparciu o te wartości dążenie w pewności podejmowania decyzji,



realizowaniu wyznaczonych celów. Bez cieni, mroków, zwątpienia i niepewności.

W symbolu jabłka ująłem czyste i nieskazitelne wartości: miłość, nadzieję, wiarę, zdrowie i sukces – jakkolwiek. Niezmienni, pokorni, dumni i godni pragniemy wielkiej miłości – w skupieniu, smutku, radości, bólu, cierpieniu, wzlotach, upadkach. Z tak wielkiej miłości rodzi się nowe istnienie, nowe życie i nowe pragnienie, które – myślę, że – trwać będzie nieskończenie. (...)

Roman Senski – plastyk i poeta inowrocławski:

U artysty uwidacznia się pościg do wyrażania czystych form, nieskazitelnych obłudą, czy fałszem, które czyhają w przestrzeni. Pragnie to też zapisać na kartach rzeźbionych ksiąg. Odkrywa świat czysty, a zarazem przestrzega w rzeźbach o zagubieniu we współczesności. Zapewne odbiorca to dostrzeże. Stąd i zaproszenie do tego, żeby zaistniała interlokucja artysty ze zwiedzającymi wystawę. (...)

Rzeźby Włodzimierza Kutznera to coś więcej niż „ładna ozdoba”. To poszukiwanie tożsamości twórcy w kawałku drewna. Rzeźby Kutznera są rozpoznawalne. (...)

Joanna Bejma – dziennikarz Gazety Pomorskiej:

Swoje pragnienia i przemyślenia wyraża w rzeźbie. Prace Włodzimierza Kutznera przyciągają wzrok niezwykłą

starannością wykonania, kolorystyką i oryginalną formą.

Grzegorz Kaczmarek – kierownik Klubu „KOPERNIK” Kujawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej:

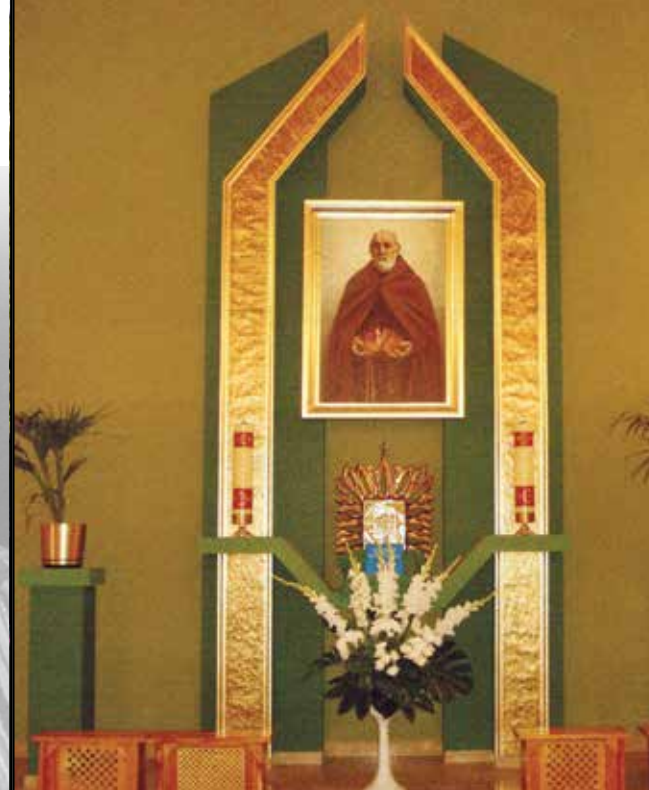
Zrządzeniem losu, prace Włodka Kutznera jako pierwsza w Inowrocławiu eksponowała Mini Galeria Klubu „Kopernik”. Wzbudziła duże zainteresowanie nie tylko pośród koneserów sztuki, ale także u szeregowych obywateli miasta. Pamiętam, że osobliwe prace wprawiały w podziw, niekiedy wręcz zaskakiwały bogatą formą artystycznego wyrazu. Przedsięwzięciu towarzyszyło wydanie drukowanego katalogu.

Spuścizna po zmarłym winna trafić do placówki upowszechniania kultury, najlepiej Kujawskiego Centrum Kultury, z którym utrzymywał kontakt. Celowym byłoby także zorganizowanie pośmiertnej wystawy retrospektywnej.

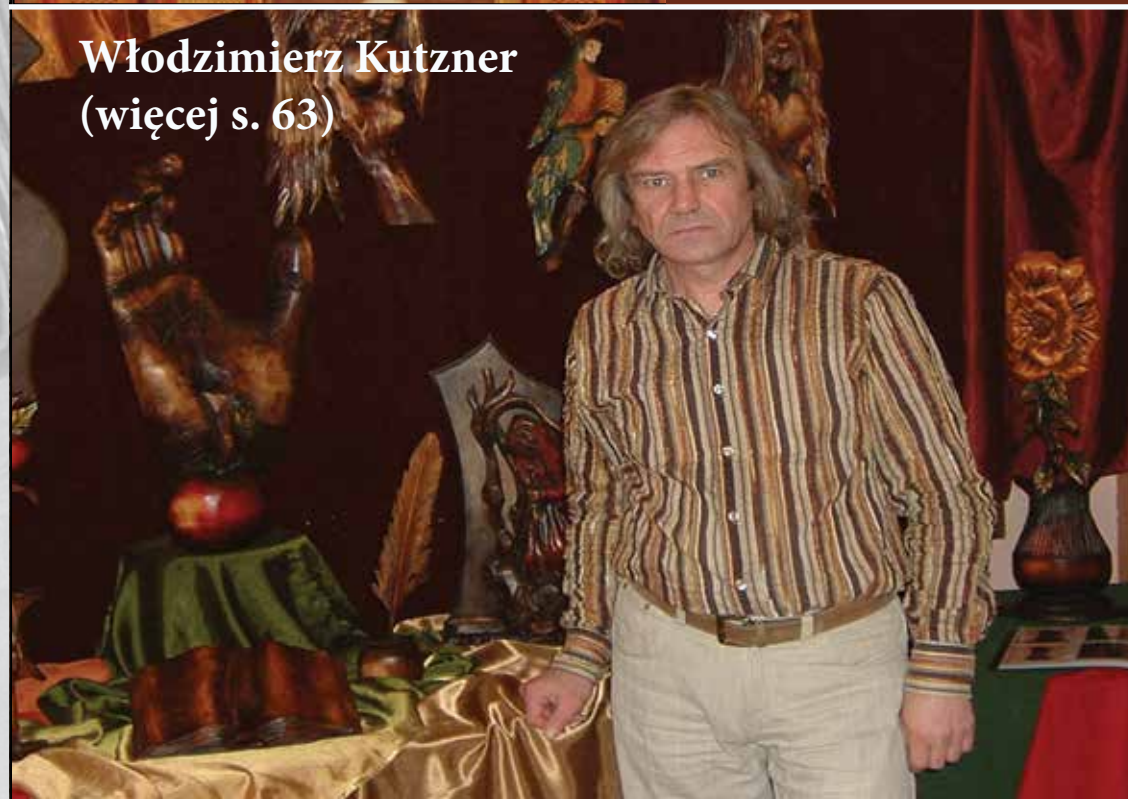
Zainteresowani twórczością Kutznera mogą podziwiać jego dokonania na stronie internetowej www.kutzner.prv.pl

31 lipca Włodek spoczął w rodzinnym grobie na cmentarzu parafii p.w. Zwiastowania Najświętszej Marii Panny. Żegnała go rodzina tudzież grono oddanych przyjaciół. Przeżył 56 lat.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym.



Jeden z ołtarzy
w kościele
pw. Brata Alberta
w Radomiu
(więcej: s. 16)



Włodzimierz Kutzner
(więcej s. 63)



„Szara godzina” („Kardynał”, „Cmentarz II”)

mal. Adam Chmielowski

olej, płótno 44,3 x 125

Muzeum Narodowe w Krakowie

„Szara godzina” Adama Chmielowskiego ma istotnie w sobie coś mistycznego, co jest właściwym tej porze. Chmielowski zdaje się być nieprzyjacielem określonych kształtów, a przyjacielem cienia, który je roztapia, mąci, i pokrywa jakby jakąś tajemnicą. I z innych jego obrazów zauważyliśmy ten kierunek”

H. Sienkiewicz, Kronika miejscowa, „Gazeta Polska” 1880, nr 115, 28 V, s. 2.